# ZNUDZONA.



—„Gdyby to, gdyby to
Rusałką zostać!
Z mgły srebrnéj uszytą
Sukienkę dostać.
Gdy róże zakwitną,
W gaju tańcować,
Źrenicą błękitną
Śmiałków czarować,
I z nici pajęczéj
Snuć na nich siatki:
Lecz czasem wiatr jęczy
Jak skarga matki,
Po gaju coś czasem
Białego chodzi,
A echo pod lasem
Żale zawodzi...
Więc pożal się Boże
Blasków księżyca:
Rusałka nieboże
Zła czarownica!
Bo klęknie łkająca
Mówić pacierze,
Wiatr róże postrąca
Na wzgórki świéże...
Lepiéj być skrzydlatym
Aniołkiem w górze,
Gdzieś płynąć nad światem
W mgły srebrnéj chmu-
[rze,
Jak biały gołąbek
Migać w przestrzeni,
Z błękitów mieć rąbek,
Wieniec z promieni.
Lecz niechże coś znęci
Wyjrzeć z obłoku,
Wnet łza się zakręci
W anielskiém oku.
Bo ziemi krąg szary
Na słonku świeci,
Tam śpiewa ptak szary,
A płaczą dzieci.
I modlą się matki
Składając ręce;
Po grządkach są kwiatki
Na święte wieńce,
Lecz któż je uwije
Pod męką Bożą?
I ręce je czyje
Gdzie trzeba złożą?
Więc goniec skrzydlaty
W dół piórka skłoni..
Tak dziewczę wśród chaty
Piosenką dzwoni,
Dla ludzi od żniwa
Wieczerzę warzy:
Ja słyszę co śpiewa,
Bóg wié co marzy.

*Marja Ilnicka.*



# DEPUTACJA SANDOMIERSKA.

## POWIEŚĆ HISTORYCZNA

przez Juljana Bartoszewicza.

(*Ciąg dalszy*).

Rzeczywiście pani Huttenowa która marzycielką była, chciała pójść za mąż po raz drugi, ale z przywiązania. Znalazł się i nowy dla przyszłego szczęścia warunek. Pani Huttenowéj chciało się iść za mąż świetnie, znakomicie, do senatorskiego domu, bo rozumowała sobie tak i nie powiemy żeby bez zasady: kiedy inne francuzki idą za mąż za kanclerzy i podskarbich, czemuż mnie nie pójść za pana, który ma piękne nazwisko, i jeżeli nie zajmuje krzesła, to przynajmniéj ma nadzieję, że je prędzéj lub późniéj dostanie? Teraz czas na francuzki. Niedługo znalazł się i trzeci warunek do szczęścia: pani Huttenowéj chciało się koniecznie być panią w domu, tak przynajmniéj jak była Marja Ludwika u Jana Kazimierza, bo lubiła bardzo rozkazywać i tęskniła serdecznie do pokłonów od ludzi. Może dla tego i nie szło tak dobrze z piérwszym mężem, że nie dawał jéj ani znaczenia na świecie, ani bogactwa; zrzekłaby się może miłości, ażeby tylko posiadała jedno i drugie. Pani Huttenowéj nudziło się w skromnym dworku, w którym dożywotnie mieszkała.

Aleź te właśnie warunki szczęścia trudne były do spełnienia. Trafiało się nieraz pani baronessie, że mogła iść za mąż za którego z bogatszych mieszczan warszawskich, ale zawsze z pogardą tę myśl odrzucała. Nie chciała nawet w ogóle zawierać stosunków z mieszczanami i przez rzadki wyjątek znosiła się jedynie z wdową po drukarzu Elercie, z którą wiele miała podobnego. Szlachta dosyć gęsto uczęszczała do jéj domu, skutkiem starych nawyknień i wszyscy którzy tylko stawali gospodą w domostwie Rudawskich, szeroko niegdyś rozrzuconem na Przecznicy, bywali u niéj kiedy przyjeżdżali do Warszawy. Ale chociaż była to szlachta zamożna z bliższych i dalszych okolic, żaden nie myślał o żenieniu się w mieście, nie był do tego ani kasztelanicem, ani wojewodzicem. Jeżeli który i przesądy odrzucając, zamarzył o pięknéj wdowie, sama pani Huttenowa zbijała go z tropu, odbierała wszelką nadzieję, bo zawsze w nim upatrzyła, albo wiek za zbyt posunięty, albo niemiłe rysy twarzy, albo niezgrabne ruchy, co szczególniéj było jéj wstrętne, jako pani modnéj i salonowéj. Koleją więc i zwolenników się przebrało. Wtedy to nastąpiło czarne rozmyślanie. Piękna wdówka zachodziła w takie lata, w których mniéj spodziewać się mogła podbojów. Serce jéj szczególnie rozdraźniło się na wspomnienie, że nie chciała iść kiedyś za niemłodego stolnika kujawskiego, który się w niéj szalenie rozmiłował i jakby na złość po odmowie, w rok czy coś więcéj, dostał od króla kasztelanję kowalską. Mogła być panią kasztelanową i samochcąc los wyrzuciła z ręki.

Oprócz zalotności, nic by nieprzyjaciel nie zarzucił czystości jéj obyczajów. Ale po kolei coraz więcéj tracąc nadzieję świetnych marzeń, pani Huttenowa gotowa była wiele ustąpić i w chwili w któréj się powieść nasza toczy, z rozpaczą i to już może raz ostatni w życiu probowała czy się nie uda jéj pójść za mąż. U pani Elertowéj poznała wiele dworskiéj młodzieży i raz wpadł jéj tam w oko bardzo młody, przystojny chłopiec, lat najwięcéj 22, skromny, cichy, potulny, dosyć nawet bogato przybrany. U pani Elertowéj, która miała dwie córki, bywał niedawno i zawsze z kolegami. Rumienił się kiedy do niego mówiono i był w ogóle nieśmiały. Nazywali go wszyscy panem Stanisławem, albo panem Ciechanowiczem.

Huttenowa naprzód bez myśli zajęła się ładnym chłopcem, ośmieliła go i chociaż nigdzie nie bywał więcéj tylko u Elertowéj i nigdy inaczéj jak z kolegami, potrafiła go skłonić wreszcie, że ją w dworku Rudawskich odwiedził. Nie spostrzegła nawet, że po troszku się pokochała w panu Stanisławie. Młodzian bywał u niéj rzadko i zawsze krótko bawił; do tego otaczał się zawsze uroczystą tajemniczością, nie chciał nigdy mówić o swojéj rodzinie, widocznie obawiał się tych nowych swoich stosunków, żeby się nie wydały, i mądra wdowa wniosła z tego, że pan Stanisław skromnie w domu wychowany i niedawno z niego puszczony na świat, miał się może kogo lękać, opiekunów albo rodziców, którzy by się zmartwili, widząc, jak syn ich bez błogosławieństwa puszcza się na pole tak niebezpieczne dla pobożnego wychowania, weseląc się i bawiąc. Trwał ten stosunek pięknéj wdowy z panem Ciechanowiczem od kilku już miesięcy, a po śmierci królowéj rozwinął się na dobre. Po kilka razy na tydzień bywał u niéj młodzieniec i wracał coraz więcéj rozkochany, rozmarzony, ale zawsze rumieniąc się, coraz mocniéj zamyślony, tak dalece, że wdowa zaczęła się lękać; bo to coś wyglądało na wyrzuty sumienia w pięknym młodzieńcu. Tymczasem upływały miesiące, a kiedy oświadczyn których się spodziewała, nie było, postanowiła wielu się rzeczy domyślając, wystąpić śmiało. O serce jego nie bała się, młodzian pierwszy raz w życiu się kochał, i biegła w tych sprawach kobiéta poznała się na wszystkiém, kierowała jego sercem, wolą, postępowaniem; ro-

biła z nim co chciała i młody człowiek musiał się jéj tłomaczyć ze wszystkich swoich myśli i uczuć. Trwało to dopóty, aż sama uwięzła w sidłach, które zastawiła na ulubionego, albowiem po niejakim czasie tych spojrzeń i westchnień spostrzegła, że sama niechcący przywiązała się do Stanisława, który zresztą spełniał dwa jéj marzenia z trzech, był przystojnym i jak się zdawało dosyć majętnym, a nadto dawał rękojmię, że posłusznym będzie małżonkiem. Najtrudniéj się jéj było rozstać z nadziejami wielkości, bo Ciechanowicz był prostym dworzaninem. Zresztą szlachcic dobry mógł doczekać się i znaczenia.

W takiem właśnie była usposobieniu piękna pani w dworku Rudawskich, gdy nagle chmurą zaszło jéj oblicze. Od tygodnia przeszło nie był już u niéj Stanisław. Smutna, stęskniona, rozżalona, starała się coś o tém dowiedzieć przez trzecie osoby u dworu, ale poszukiwania nie doprowadziły doniczego. Miałyżby się i te ostatnie nadzieje rozwiać bez śladu?

## VII.

Siedziała właśnie u siebie, pod wieczór pewnego dnia i zamyślona nie mogła nawet mówić z wielkiego żalu, a raczéj z rozdraźnienia. Napróżno starała się ją rozerwać ciotka, z którą razem mieszkała i z którą przepędziła całe życie, prawie od kolebki, bo ta ciotka widziała jéj urodziny, przywiozła ją z Lotaryngji do Polski i zajmowała się potém jéj wychowaniem w domu Filipa Huttena. Ciotce wychowanica wydawała się jeszcze młodziutką panienką na wydaniu i kiedy czasami zwróciła uwagę, że to już lat ze trzydzieści jak przyjechała z dzieckiem do Polski, rachubę przyjmowała ze wszelką skrupulatnością, ale swojéj Margaricie nigdy nie przyznawała nawet lat dwudziestu pięciu. Trudno to było pogodzić jedno z drugiem, ale staruszka trzymała się mocno swojéj wiary, i sto razy pobita i przekonana, przekonać się nie dała. Margaritę jedną już tylko miała w życiu, modliła się więc tylko o nią, wszystko w niéj widziała najlepsze i gdyby mogła, pewnieby przychyliła jéj nieba.

Obiedwie niewiasty razem znajdowały się w komnacie, staruszka przechodziła się niespokojnie spoglądając na siostrzenicę, pani Huttenowa milczała jak zaklęta i w coraz gorszym humorze. Kilka razy odpowiedziała ciotce słowem oderwanem, z którego nic pojąć nie można było. Wtedy starała się ciotka uspokoić ukochane dziecko, perswadować mu, tłomaczyć, pani Huttenowa nie rozumiała nic, nie słyszała nic, w końcu z niezwykłą sobie niegrzecznością względem ciotki odrzekła:

— Niechaj mi jejmość nie przeszkadza.

Można więc sobie wyobrazić radość staruszki, kiedy znalazłszy się jakimś sposobem przy drzwiach, usłyszała nagle szelest sukien a potém lekki skrzyp i ujrzała wchodzącego mężczyznę.

— Margarito! pan Stanisław! — zawołała.

Pani Huttenowa była tak zamyślona, że nie słyszała ani szelestu w sieni, ani skrzypienia drzwi i zbudziła się dopiéro na słowa ciotki. W jednéj chwili całe to zamyślenie ustąpiło, a twarz przybrała zwykły wyraz serdeczności i szczęścia. Nie powstała jednak z miejsca, chociaż się Ciechanowicz przybliżył.

— Gdzieżeś tak bawił długo mój królewiczu? zapytała się.

Królewicz stał nic nie mówiąc, jakby przebaczenia szukał, aż musiała piękna gospodyni powtórzyć swoje i tą razą pewnie natrętne zapytanie.

— Jeździłem pani baronesso do Góry, w któréj ks. biskup Wierzbowski nową Kalwarję zakłada...

— I cóż za ciekawość w tym czasie?

— Namówili mnie do tego inni dworzanie.

— Za dużo wolności dają wam na dworze, mój królewiczu, skoro możecie cały tydzień bawić na téj podróży do Góry Kalwarji. A myśmy tutaj was tak czekali! tak czekali!

I to mówiąc piękna wdowa podała mu rączkę, którą młodzian ucałował.

— Siadajcież proszę; o! jakże nie lubię tych dworzan, którzy mnie was odbierają! — mówiła baronowa. Przyzwyczaiłyśmy się widywać was częściéj, nietylko ja ale i ciotka.

— A królewicz nie dobry, bawi nas niepokojem, wtrąciła ciotka, która spokojnie przysłuchiwała się rozmowie.

— Niewiem jak się pani baronessie wytłomaczyć, mówił Ciechanowicz, nigdzie mi przyjemniéj czas nie schodził jak tutaj... Ale musiałem ustąpić przyjaciołom dworskim tą razą...

— Królewiczu, coś skrywasz przedemną, odpowiedziała pani Huttenowa. Nie spodziewałam się tego. Któż mógł was przymusić? a mówiliście mi tyle razy, że jeden słodki przymus do tego miejsca was ciągnie. Mieliżbyście się zmienić? Jeżeli tak, czemużem was nieszczęsna poznała?

Młodzieniec czuł, że go odchodzi przytomność, bo poznał winę swoję przed tą kobietą. Chociaż ją szalenie kochał, ale nadchodziła chwila, w któréj się począł opamiętywać i żałował swojéj lekkomyślności. Oddawna odgadło go też serce kobiéty. Przypomniał się mu surowy ojciec i kiedyś anielskiéj dobroci matka, którzy go wychowali w miłości Bożéj, w uszanowaniu dla siebie. Poczciwe dziecko polskie, wtedy kroku jednego nie postąpiło bez rodziców. Młodzian wszedł niechcący w te stosunki serdeczne i przestraszył się odpowiedzialności przed światem i Bogiem. Nie umiał się jednak wyplątać, rady sobie nie dał i powtarzał tylko wiersz starego poety Sępa, który znalazł w pewnym rękopiśmie: „I nie miłować ciężko i miłować.“ Za bytnością swoją ostatnią razą u wdowy, opowiadał coś

o weselu siostry i nie spostrzegł się jak gładko baronowa umiała natrącić słówko o inném weselu, którego pragnęła. Młodzian zbladł nagle i kiedy nazajutrz doradzili mu przyjaciele wycieczkę do Góry, przystał chętnie na wszystko, rad że się oderwie choć na chwilkę od wdowy. Nie chciał jéj rzucać, nie zdradzał jéj, ale odezwały się mocno w jego duszy obowiązki sumienia, wyrzucał sobie, że obraził prawo rodzinne. Jeden on tylko co miał na dworze królewskim tyle skrupułów, inni dworzanie albo inaczéj wychowani, albo dawniéj osiedli na dworze, przywykli do chyrchelów niewieścich. Za Marji Ludwiki kawalerowie salonowi nie śmieli się ze Stanisława, młodzieńca rzeczywiście niewinnéj duszy.

Łatwo się domyśleć, że pod naciskiem słów serdecznych ulubionéj i pod ogniem oczu ciotki, która najdoskonaléj w rysach cudzych czytała, biedny Stanisław znaleźć się nie potrafił. Kłamać nie umiał i widział ze strachem, że zbliża się chwila stanowcza objaśnienia sprawy. Rad był przynajmniéj temu, że ciotka wyszła, nie chcąc zapewne przeszkadzać rozmowie.

Trwało czas jakiś milczenie, w skutku którego oczy pani Huttenowéj zaszły na nowo chmurą. Spojrzała na młodzieńca tak, że się jeszcze mocniéj zmieszał, wreszcie zdobył się na słowa bez myśli:

— Najdroższa pani baronesso, darujcie...

Ale piękna pani powstała szybko i zawołała:

— Nie mówcie już do mnie, królewiczu, owego słowa: najdroższa! Niegdyś było to śliczne, rozkoszne, upajające słowo, kiedy było natchnione, dzisiaj nie! Moje serce przeczuwa żem się boleśnie zawiodła. Wy coś skrywacie odemnie, mój królewiczu... A co? wszak zgadłam....

Młodzieniec ukląkł przed ukochaną i nie zdobył się na żadną odpowiedź.

— Przerażacie mnie, piękny królewiczu! — mówiła nie podnosząc go pani Huttenowa i siadając sama na swoje miejsce. Pomiędzy tém co było a tém co jest, dostrzegam wielką zmianę. Może was znudziła już moja przyjaźń?

I załamując ręce dodała:

— Nie dałby tego Pan Bóg, bo byłaby to boleść nad wszelki wyraz!

Młodzian zadrżał i rzekł tonem uroczystym:

— Prócz was, pani baronesso, nie kochałem nikogo i kochać nie będę. Darujcie, że mówię za śmiało, że was może obrażam zuchwalstwem mojém, dumą bez granic, do któréj nie mam żadnego prawa. Ale wasz wyrzut, który mnie boleścią tknął w serce, wyrywa mi z ust to wyznanie. Oprócz was, niema dla mnie nadziei!

Piękna wdowa rozgarnęła włosy na głowie klęczącego młodzieńca i schyliwszy się pocałowała go w czoło.

— Wiernym wam będę aż do śmierci, mówił rozmarzony w gorączce, ale mój ojciec....

— Ha! przecież piérwszy raz coś posłyszę o waszym ojcu? Wasz ojciec nie chce zapewne synowéj z miasta? Nieprawdaż? Waszemu ojcu się zdaje, że szlachectwo polskie lepsze od francuzkiego... A przecież wśród waszéj szlachty nie ma krwi rycerskiéj, któraby jak moja sięgała początkiem swoim wojen krzyżowych... Wasz ojciec przyzwyczaił się szlachtę widzieć po wsiach, w pałacach i dworach, więc sądzi, że baronessa francuzka syna jego nie warta?

— Mój ojciec nic nie wié, że znam was pani najdroższa, nie mógł więc żadnych mieć uprzedzeń względem was...

— Więc czegóż mój królewiczu najsłodsze zwierzenie się przerywasz tém złowróżbném słówkiem: ojciec! Bo cóś jest w tém, nie napróżnoś wymienił to imię, liberum veto ojcowskie jest najpotężniejsze...

— Właśnie że najpotężniejsze...

— Toć może się lękacie mój królewiczu, żeby was nie wyklął, kiedy się dowie, że wasze serce bez jego wiedzy przemówiło?

— Tak najdroższa... Ale nie idzie tutaj bynajmniéj o klątwę, mój ojciec kocha swoje dzieci...

— Więc o cóż?

— Obrazi się żem was poznał, odrzekł młodzian. Oddał mnie na dwór dla chleba, dla zasługiwania się królowi, a ja chleba nie zarobiwszy, myślałem o tém, co jużby powinno wypaść mi po chlebie.

Biegła w odgadywaniu serc ludzkich kobieta, po takiém wyznaniu zrozumiała, jaką drogą do celu iść powinna, żeby szlachetnych ukochanego pobudek nie dotknąć bolesnym ciosem.

— Wasze pojęcia, mój piękny królewiczu, mówiła do niego rozgarniając mu włosy na głowie, są zbyt sarmackie i trącą starzyzną, którą napróżno ś. p. królowa zdjąć z was pragnęła. Jesteście po za postępem cywilizacji, ale mniejsza o to, kocham cię za to żeś pobożny i zacny syn.. Ale wszakże ojciec, mówiłeś, obrazi się już za to żeś mnie szukał, a mimo to kocha swoje dzieci. Mnie, mój drogi królewiczu, nie wypada wskazywać ci drogi postępowania, rób jak ci się zdaje, jak ci dyktuje serce i powinność, ale sądzę, że jeżeli ojciec się obrazi, to już wszystko jedno, czy za jedno czy za wszystko...

— Chcesz więc, najdroższa pani, żebym się żenił bez wiedzy, bez błogosławieństwa?

Zasępiła się piękna pani i pochmurnie dodała:

— Ja nic nie chcę, niczego nie pragnę, tylko pędzić z tobą życie najsłodsze, o jakiem marzyłam... Ale być może zawielem marzyła. Może znasz gdzie królewiczu mój piękniejszą?

— Pod słońcem niema piękniejszéj, mówił młodzian całując gorąco jéj ręce.

— Możem ja dla ciebie za stara?... zapewne tak, znajdziesz młodszą...

— I najmłodsza takim cudem nie będzie, jak wy...

— Możem nie taka bogata, żeby wśród was zasiąść, bo przecież nie przestraszycie się mojego szlachectwa, które chociaż nie polskie, ale piękne...

— Bogata? o bogactwie mówicie, wierz mi najdroższa, że fortuny po ojcach będę miał dosyć i dla żony...

— Ha! przecież i ztém dopiéro wydałeś się mój piękny królewiczu... Sądziłam, że jeżeli Bóg nas połączy, osiądziesz tu u mnie...

— Nie masz tyle najdroższa moja, co ja mieć mogę...

Było to drugie odkrycie dla pani Huttenowéj; widziała w dali, że może i trzecie jéj marzenie się spełnić. Miała w rękach swoich młodzieńca, którego jeszcze nie znała wiele, oddała się miłości wyłącznie, a tutaj nagle ukazywała się przed nią bryła złota, skarb jakiś nie oszacowany. Tém silniéj więc rozwinęła żagle miłości, ażeby pospieszyć do upragnionego celu.

— Królewiczu mój piękny, zawołała nagle, pozwól niech ci się napatrzę! Jestem tak szczęśliwa, tak szczęśliwa, że mam twoję miłość!

I znowu całowała go w czoło, tą razą z namiętnością, z rozkoszą.

— Napisz do ojca, mój drogi... A o matce nic nie mówisz?

Młodzieniec westchnął i odpowiedział:

— Moja rodzicielka już od lat kilku nie żyje.

— Napisz do ojca o błogosławieństwo.

— Nie mogę tego zrobić, najdroższa moja, odpowiedział prawie jęcząc młodzieniec. Ojciec by mi nigdy nie pozwolił żenić się, że chleba nie mam i nie da mi go; dałby mi wtenczas gdybym się podług jego woli i w jakim dobrym szlacheckim domu dla konnexji ożenił. Obraziłbym go podwójnie, i tém, żem zaczął tak ważną sprawę bez jego błogosławieństwa, i tém, że listownie się zgłaszam; gdybym sam pojechał błagać go i prosić, byłoby i to nie po staropolsku, cóż dopiéro zgłaszać się listownie, list się pisze u nas do przyjaciela, do kogoś niższego, ale nie do ojca i nie w takiéj sprawie...

— Więc cóż zrobisz, mój piękny królewiczu?

— Zostaje albo jechać i prosić, albo czekać..

— Więc pojedziesz?

Młodzian się schwycił za głowę jakby w odurzeniu i nic nie odpowiedział. Z drugiéj strony nie podobała się taka alternatywa pięknéj pani, ale nie wydała się z tém, żeby sprawy nie zepsuć, owszem przyjęła pozór zrezygnowanéj na wszystko.

— Jak chcesz, mój królewiczu, wszystko będzie dobrze, ale jeżeli po długiém czekaniu nie nastąpi to pożądane błogosławieństwo?...

— Wtedy, wtedy, najdroższa pani, uciekłbym za tobą na koniec świata...

Pani Huttenowa udała, że czuje się obrażoną.

— Po cóż tak daleko, mój piękny!—rzekła uśmiechając się czarownie. A zkądże i ta pewność, że uciekałabym na kraj świata? Zkądże to wiesz, żebym ci pozwoliła sobie towarzyszyć? Niewiasta mojego stanu i moich wyobrażeń i dla najdroższego sławy swojéj nie poświęci. I cóżbyś w zamian dał mi za to? Nazwisko i prawa małżonki? A w takim razie po cóż uciekać na ten kraj świata, jakby przed klątwą, przed powietrzem? Bóg mi świadkiem, mój królewiczu, że roiłam sobie sny złote z tobą i całe życie obok ciebie. Ale potém co zaszło pomiędzy nami w téj chwili, po tych wynurzeniach, gdy widzę trudności, których przełamać nie chcesz czy nie możesz, najlepiéj podobno będzie się rozłączyć, bo pocóż podawać się na obmówisko ludzi, kiedy to przywiązanie nasze bez nadziei?

Wiedziała przebiegła piękność, że na kawały rozrywała to biédne młodzieńcze serce.

— Najdroższa pani, zawołał z prawdziwym żalem i jakby tonący chwytał się jedynéj deseczki ocalenia, najdroższa, pozwól czekać!

— Możnaby i czekać, mój królewiczu, gdyby jaka pewność była, odpowiedziała Huttenowa. Ale widzę, że boisz się ojca, że on dla ciebie prawodawcą! W takim razie grasz w zagadki. Jeżeli to dla ciebie mój królewiczu wygodnie, za to mnie naraża. Tak kocham ciebie, żebym marząc o szczęściu czekała lata, ale dzisiaj daruj, sławy swojéj nie poświęcę, jeszcze powiedzą ludzie żem cię bałamuciła. Powstań mój drogi, niechże będzie raz ostatni to widzenie się nasze.

I perliste łzy popłynęły po ślicznéj jéj twarzy.

— Najdroższa moja, wołał młodzieniec, poczekaj chwilkę, jedną chwilkę, miesiąc, dwa najwięcéj. Następuje pogrzeb królowéj, ojciec mój nie opuści zapewne sposobności być na tym smutnym obrzędzie i przyjedzie do Warszawy. Padnę mu do nóg, poproszę. Rzeczy to bardzo, wyznaję, trudne. Bo trzeba będzie zadrasnąć jego serce i nic samemu nie mając, o chleb się wprosić do niego. W naszym domu wszelako wszyscyśmy wyszli własną zasługą i pracą, na polu boju, lub w zatrudnieniu około Rzpltéj dorabiali się chleba, ja piérwszy dla ciebie i na to się odważę, że będę chciał opatrzenia przed zasługą...

— Tymczasowe opatrzenie masz u mnie, mój królewiczu, rzekła wdowa lubując się kochankiem.

— I sądzisz, najdroższa pani, żebym śmiał przed ojcem to wymówić? Dobre serce twoje, ale ani ja, ani pojęcia nasze nie piszą na takie się uniżenie...

Zagryzła wargi pani Huttenowa i zapytała się:

— Przyjedzież pewno twój ojciec, mój dro-

gi? Dlaczego mi nigdy o nim nie mówisz? Któż on jest? Senator, czy dygnitarz Rzpltéj, urzędnik ziemski? Wiem, że litwin i że z Pińskiego...

Młodzieniec ani słówka nie wymówił, ale w twarzy jego widać było, jak walczył ze sobą.

— Tajemniczy ciągle jesteś, mój królewiczu, mówiła wdowa. Doprawdy, lękam się o ciebie. Powstań, po co klęczysz tak długo? Wygląda jakbyś się modlił, a tymczasem szarpiesz to biédne serce moje!

Ale Stanisław nie powstał i przysięgał ukochanéj, że nie powstanie póty, póki mu nie pozwoli czekać jeszcze te dwa miesiące. Co nastąpi? nie wiedział, rządził się więcéj przeczuciem, ale zapewniał, że krok stanowczy uczyni i że zastosuje swoje postępowanie do wypadków. Ostateczności czepiać się nie mogę, póki nie wyczerpię wszystkich środków. I to opowiadając, przysięgał wdowie namiętnemi wyrazami, że jéj nigdy nie opuści. Pani Huttenowa płakała z rozczulenia i pozwoliła wreszcie ulubionemu na tę zwłokę, wymownie dowodząc, że to z jéj strony ofiara dla miłości bez granic, i że po terminie oznaczonym, jeżeli nie spełnią się najdroższe jéj nadzieje, rozerwie z największą boleścią te stosunki, które jéj tyle przynieść miały szczęścia.

Nastąpiła więc wtedy w domu pani Huttenowéj rodzinna uroczystość; rozjaśniły się twarze, wylewały serca, pod wpływem ożywionych uniesień. Ciotka, którą oczywiście przypuszczano do wszelkich tajemnic, nie posiadała się z radości, całowała wciąż, ściskała swoją siostrzenicę, Stanisławowi prawiła grzeczności. Nadzwyczaj rozgadała się staruszka, to unosiła się nad Stanisławem jak będzie szczęśliwy z Margaritą, jak siostrzenica jéj podoba się wszystkim kto na nią spojrzy, jak dobra jest i zacna. Mówiła daléj, że Margarita miała zawsze szczególną miłość do zacnego narodu polskiego, jak zawsze pragnęła wyjść za mąż w Rzpltéj za szlachcica, i jak wbrew jéj woli, inaczéj niegdyś się stało, bo pan baron był wprawdzie szlachcicem, ale francuzkim. Nieraz te dowodzenia i teorje wywoływały uśmiech ze strony dwojga rozkochanych, ale żadne przedstawienia nie miały na nią wpływu; jeżeli nie z niemi, to z sobą prowadziła rozmowę. Pani Huttenowa także jaśniała szczęściem i jeden Stanisław tylko czasami się zamyślał.

— Królewiczu, spędź troskę z głowy, mówiła raz do niego piękna wdowa, bo smutno doprawdy, ty cierpisz i za miłość moję! O, żeby ci ulżyć, zrzekłabym się nawet i ciebie!

Królewicz za odpowiedź okrywał tysiącem pocałunków podaną sobie rączkę. A staruszka wtrącała swoje:

— Pan Stanisław bo sam się dobrowolnie alteruje bez potrzeby. Starosta stobnicki Ossoliński był w takiém samém co pan Stanisław położeniu co do rodziny, a zdecydował się nie prosić o pozwolenie i błogosławieństwo, kiedy się rozkochał w Margaricie, bo wiedział, że jedno i drugie przyjdzie, przyjść musi po ślubie. Ale cóż? poszedł na kozaczyznę i zginął pod Beresteczkiem.

— Pan starosta był już panem swojego losu, odparł młodzieniec, starostwo świadczy...

— Ale jakiż to był starosta? krzyknęła staruszka szczęśliwa, że znalazła przekonywający argument. Dziecko jeszcze, kiedy zginął miał lat 20. Nosił tytuł i zapewne ojciec by mu ustąpił kiedyś ziemi, ale tymczasem to starostwo jego było jak na księżycu, bo starostą był ojciec I trudności miał pewno większe od pana Stanisława Kanclerz koronny stryj jego, był to pan rzadko jak dumny, przezywał się książęciem, z królami tylko przestawał...

— Otóż pan starosta Ossoliński mógł tak zrobić, jak powiadacie, pani moja, odparł młodzieniec, bo modne musiał odebrać francuzkie wychowanie; nie ubliżam tu nikomu, ale ja tak nie mogę, i wierzcie mi, chociaż serce boli, jedynie w błogosławieństwie tych co mnie błogosławić mają prawo, upatruję całe szczęście przyszłego żywota!

Młodzieniec siedział dłużéj jak zwykle u swojéj kochanéj. Wyszedł od niéj już po dziewiątéj godzinie wieczorem, śpiesząc co prędzéj do pałacu na przedmieściu i zawczasu układając plany, jak się tłomaczyć będzie, jeżeli zapytają o powód tak długiéj nieobecności. Pocieszał się tą myślą, że nie sam jeden winnym będzie. Po drodze przy baryczkowskim dworku spotkał się z innym dworzaninem i szli obadwaj rozmawiając ku firlejowskiéj kamienicy i ku pałacowi biskupów krakowskich.

## VIII.

Wieczorem tego samego dnia, który kochankowie spędzali w tęsknocie w Rudawskich dworku, odbywała się w pałacu na przedmieściu u króla uroczystość przyjmowania deputacji sandomierskiéj, która przyjechała ze spółubolewaniem nad śmiercią królowéj. Chorąży Dębicki stojący na czele téj deputacji wypalił perorę, w któréj nasadził moc affektów. Rzeczywiście była to smutna ironja; człowiek, który z zasady powstawał na wszystko, burzył spokojność, zepsuty swawolnik, dumny przywódca szlachty, prawił o wielkiéj szkodzie, jaką Rzplta poniosła. Po Dębickim inni członkowie deputacji mieli mowy i król musiał się ogromnie nudzić słuchając aż do zbytku ckliwych, nadętych wyrażeń. Całe ziemstwo sandomierskie licznie było reprezentowane, ale oprócz niego zjechali się obywatele i z powiatów województwa największego w Koronie; była szlachta stężycka, radomska, wiślicka, pilźnieńska, nowomiejska. Odbywali niedawno wszyscy wspólnie w Opatowie sejmik, na którym wybierali deputatów do trybunału i do komisji radomskiéj. Pan Dębicki zachęcił

i zaraz jedni wracając do domu, troszkę zbaczali z drogi, inni umyślnie się wybrali do Warszawy, żeby spełnić serdeczną powinność, bo jeżeli jeden i drugi z przekąsem jechał i dla światowych powodów, ogół téj szlachty z prawdziwego poczucia ubolewał nad sieroctwem pana.

Skończyło się wreszcie owo posłuchanie i deputacja cofnąwszy się do komnat pałacowych z izby królewskiéj, podejmowaną była suto i wspaniale. Jan Kazimierz ją przeprosił, że nie może brać w uczcie udziału i uwierzyli temu wszyscy, bo wiedzieli, jak pan był ochotny do wszelkiéj zabawy. Podkomorzy smoleński, według obietnicy danéj królowi, gospodarzył u stołu. Sam tylko jeden przybrany był w biały żupan, bo tylko co przed posłuchaniem nawiedzał ksienię wizytek warszawskich w klasztorze przy pałacu: chciał się widzieć z córką i dlatego ubrał się w taki strój uroczysty. Wszyscy zaś inni członkowie deputacji byli ubrani czarno, na znak żałoby.

Uczta przeciągnęła się godzin kilka i już się dobrze zmierzchało, gdy deputaci zaczęli się wybierać do domu. Chcieli wszyscy wracać razem, bo oprócz kilku, którzy stanęli w dworkach u znajomych na Krakowskiém przedmieściu w bliskości pałacu królewskiego, wszyscy inni pomieścili się na Miodowéj Przecznicy, lub w dworkach pod Nowem Miastem; sam Dębicki stanął u pijarów, bo miał tam znajomego księdza rektora, ktorego poznał niegdyś w Krakowie.

Po południu rzęsisty deszcz upadł i porobił na przedmieściu kałuże. Wprawdzie wypogodziło się, ale zostało błoto po niewybrukowanych przejściach i ulicach. W Warszawie ówczesnéj trudno było iść w nocy bez światła nawet za pogody, cóż dopiéro po deszczu? Zatém pan podkomorzy zawołał na służbę i kazał zapalić cztery pochodnie, żeby panom sandomierskim przyświecały przy powrocie. Obiecał im także towarzyszyć, czém oczywiście wymierzał grzeczność deputacji, która umiała to cenić i serdecznie mu dziękowała za względy. Podkomorzy odprowadzając sandomierzan miał zamiar wstąpić do firlejowskiéj kamienicy po swoje papiery, które tam zostawił, więc nawet nie zdobywał się wyłącznie na grzeczność, kiedy przy sposobności chciał i swoje sprawy załatwić. Ale mógłby posłać kogo z dworzan po papiery, tymczasem szedł sam po nie w dobraném towarzystwie.

Zarzuciwszy kontusze na żupany, sandomierzanie wybrali się w gęstym tłumie za bramę pałacową na przedmieście, ale tutaj na widok roztopów i błota, ustawili się w porządek, żeby jeden nie zawadzał drugiemu w drodze i żeby wszystkim było iść dobrze i światło. Stanęli w pary jedni za drugiemi, a że było ich osób kilkadziesiąt, zebrało się par przeszło 20. Na przodzie postępowali dwaj dworzanie z pochodniami, drogę panom zrobiwszy i nie zasłaniając ich bynajmniéj, bo rozstąpili się szeroko, dwaj drudzy dworzanie szli także po bokach za dziesiątą mniéj więcéj parą. Oświecali miejsce i sami omijając kałuże, wskazywali bezpieczną drogę. W pośrodku tego światła postępowali parami deputaci, zawsze po dwóch, tylko wśród piérwszéj pary znajdował się pomiędzy chorążym sandomierskim a stolnikiem radomskim Chrapowicki.

Dziwny to i prawdziwie oryginalny był widok Zdaleka ten tłum ludzi wijący się wśród ciemności nocnych, chylący się to w tę, to w drugą stronę, według potrzeby, zaginający zawracający się, oświecony pochodniami, a ciągnący się długim ogonem, fantastyczny przedstawiał widok. Ludzie przedmieścia wyglądali z dworków i przeprowadzali deputację oczyma. Był nie jeden taki, co się żegnał spotkawszy orszak. Najwięcéj uderzało to, że wszyscy czarno byli przybrani i że jeden pomiędzy niemi szedł biały. Ludzie nazwyczaili się do pochodów dworskich i pańskich, wszelako było coś nadzwyczajnego w pochodzie tego ponurego orszaku.

Dodajmy, że orszak posuwał się cicho, ani jednem słówkiem nie przerywając milczenia. Rzeczywiście nie było też pola do rozmowy, język się plątał na powietrzu, wszyscy podwoili ostrożność. Zagrzane głowy więcéj zajęte były tém, żeby nie powalać błotem pięknych butów, nie popryskać kontuszów i karabeli. Nietylko fantastycznym więc wydawał się ten pochód w nocy, ale był jakby orszakiem grobowym, i nic dziwnego, powracał prawie ze stypy.

Długo szli deputaci przez całe przedmieście, zanim zbliżyli się do celu, i ledwie im dotąd dwóch czy trzech z szeregu ubyło, skręcili wreszcie na lewo od krakowskiéj bramy w ulicę Senatorską. Pochodnie już rzucały blask z daleka na Przecznicę Miodową i po kilku sekundach stanęły już u rogu i zatrzymały się, ażeby drogę lepiéj oświecić. Właśnie w téj chwili grono młodzieży, z sześciu, siedmiu osób złożone, miodową przecznicą idąc ku senatorskiéj, zupełnie w przeciwnym kierunku orszakowi sandomierzan, zetknęło się z tym pochodem. Jeszcze młodzież nie widziała deputatów, deputaci młodzieży, ale dworzanie z pochodniami widzieli jednych i drugich. Wesoła, pusta, wracająca widocznie z jakiejś hulanki młodzież, szła tłumnie, rozmawiała gwarnie i głośno, była pełna fantazji, zdaleka słyszeli ją deputaci. Po świetle pochodni domyślając się, że ktoś znakomity idzie, młodzież dla nadania sobie powagi, coraz mocniéj głos podnosiła, jeden z niéj tylko postępujący na czele, nie podzielał wesołości swoich towarzyszy. Młodzież szła prosto, nie zatrzymując się, gotową zmusić jaśnie wielmożnego pana, który za pochodniami postępował, żeby jéj z drogi ustąpił. Sta-

ło się więc, że na samém zgięciu ulicy spotkały się dwa orszaki. Sandomierzanie żadnego nie odebrali wrażenia, ale inaczéj było z młodzieżą. Widok tych czarno przybranych postaci ciągnących się długim sznurem, oświeconych słabo od czterech pochodni, uderzył imaginację i powstrzymał zrazu głośne wybuchy wesołości. Tymczasem ów piérwszy, spojrzawszy w oczy temu, co sam jeden był w białym żupanie, nagle skręcił się jak wijun złapany w sidła, i dobywszy sił, począł w największym pędzie uciekać miodową przecznicą. Ten przykład mimowolnéj trwogi oddziałał zaraźliwie na innych. Nikt nie myślał, nikt nie dochodził przyczyn, bo czasu na to nie było, ale bojaźń dziwnie opanowała to wesołe przed chwilą grono, które się rozpadało samo z siebie, w niepojętym popłochu. Jeden, drugi, trzeci, zawrócił nagle i uciekać zaczął jak piérwszy; pochowali się po domach, poznikali w przejściach i deputaci pojąć nie mogli co się to znaczy, czém tak bardzo znowu młodzież wesołą mogli przestraszyć.

Piérwszy z uciekających w pewnéj odległości na 200 do 300 kroków, około zadzikowskiego gmachu spotkał straż marszałkowską przeznaczoną do pilnowania porządku w mieście. Zdaleka jeszcze posłyszała straż wesołe krzyki i biegła według swojego obowiązku odszukać winnych i nastraszyć. Ale nim pospieszyła, zobaczyła zdaleka pochodnie i potém zwolna wstępujący na przecznicę orszak deputatów, jak senne widziadło. Trwało to wszystko chwilę, aż popłoch w ręce jéj oddał tego, co biegł naprzód.

Położenie młodzieńca nie było do zazdrości, z deszczu wpadł pod rynnę; oczywiście chodziło mu i w piérwszym i w drugim razie o zasłonienie się; ten sam popłoch, który go spędził, nie pozwalał także oddać się w niewolę straży. Chcąc sobie otworzyć drogę i wytłomaczyć tém samém powód ucieczki, żeby go nie zatrzymywano, zawołał nadbiegając:

— Ratujcie się! szereg czartów prowadzi do piekła jakąś białą duszę.

U najodważniejszych ze straży włosy stanęły dębem na głowie. Umieli się zetrzeć ze swawolą, z rozpustą, z siłą, nawet z władzą, ale z djabłem była to rzecz inna.

— To kobieta! zawołał ktoś ze straży drżąc cały.

— Ha! pewno królowę prowadzą czarty! wrzasnął drugi z młodzieży co również biegł z przodu, ratujcie się! bo i wam dostanie się przy niéj!

Deputaci w téj chwili jakby defilowali umyślnie przed strażą, bo zdaleka przechodzili na drugą stronę przecznicy, chcąc pożegnać podkomorzego smoleńskiego. Jeżeli zbliska widok niezwykły zadziwiał ludzi, z daleka strwożył témbardziéj, gdy młodzieniec powiadał, że to są djabły, a przecież zaglądał im w oczy, mógł niezawodnie ich poznać. I to co mówił młodzieniec, doskonale odpowiadało ogólnemu usposobieniu miasta i kraju. Długo o niczem nie było mowy, tylko o śmierci Marji Ludwiki, czy w pałacach, czy w chatach, panowie krytykowali jéj postępowanie i rządy, prości ludzie mówili o tém co rozumieli. Królowa miała wszędzie przyjaciół i nieprzyjaciół. Lud warszawski szczególnie wiele się nią zajmował: jéj pobożne fundacje w mieście, dobroczynność znakomita, wskazywały królowę za cel uwielbień, ale z drugiéj strony przekleństwo kraju z powodu wojny domowéj z Lubomirskim, w czasie któréj i Jan Kazimierz i Marja Ludwika wiele bolesnych prawd od szlachty po wioskach posłyszeli, byłyto owe ciemne piętna, które legły na jéj pamięci kamieniem. Jeżeli Warszawa nie ucierpiała, słyszała za to wiele o uciskach i zdzierstwach, o klęskach ubogiego ludu i płakali wszyscy chociaż nieszczęściem nie dotknięci. Biegały po kraju różne powiastki o Marji Ludwice, przedstawiano ją w różnych postaciach i obrazkach. Była też i bardzo rozpowszechniona wieść, że królowa zapisała djabłu swoją duszę i że działała pod natchnieniem złego.

Straż marszałkowska składała się z pachołków, ludzi oczywiście prostych, pełnych uprzedzeń i guseł w owym czasie, nie powiemy gorącéj wiary, ale nabożeństwa, roznamiętnienia się religijnego. Straż marszałkowska, jak wszyscy nasłuchała się dosyć powiastek o Marji-Ludwice. Na wiadomość zatém, że djabli prowadzą duszę królowéj do piekła, przelękła się; dusza była biała i jedna tylko odbijała w ciemnościach; nie ulegało więc wątpliwości, że czarni to byli czarci.

Pod naciskiem strachu i oczywistości doniesienia, straż marszałkowska wstrzymała dech i krok, a gdy piérwszy lepszy zawołał w ślad za młodzieńcem:

— Ratujcie się! dla Boga! — cała straż marszałkowska, jak rozbita kolumna w boju, rozpierzchła się w jednéj chwili, nie pilnując porządku. Młodzian był już wtedy daleko.

Popłoch opanował całą przecznicę. Jedni ludzie uciekali, widząc że uciekają wszyscy, chociaż nie wiedzieli dla czego, drudzy chowali się po kątach, wszędzie zamykały się bramy i okiennice, we wszystkich prawie dworkach panowało przerażenie, bo lękliwych, strwożonych wszędzie znajdowało się więcéj. Niektórzy odważniejsi wychodzili na ulicę, ale zobaczywszy orszak żałobny, czém prędzéj wracali napowrót, za ryglami tylko i kluczami znajdując bezpieczeństwo dla siebie. Wkrótce cała przecznica, tak zwykle ludna o téj porze, w któréj zamykały się ogrody i altany z piwem albo z miodem, była pustą, całe życie z niéj uciekło. A mara nocna posuwając się coraz daléj ku Długiéj ulicy i Nowemu Miastu, snuła sama po mieście legendę, któréj tysiące uwierzyło, bo tysiące widziało ów tajemniczy pochód po długich przedmieściach i ulicach.

To dobrze jeszcze téj nocy, ale kiedy nazajutrz miasto wstało, legenda urosła do rozmiarów niczem nieobjętych, ogromnych jak ludzki strach i wierzenie. Ci co widzieli na swoje oczy żałobny orszak, przysięgali że widzieli czartów, poznawali ich po stroju i trójgraniastych kapeluszach, po ogonach i pazurach; byli nawet i tacy, którzy przypominali sobie i rysy twarzy Marji Ludwiki w téj osobie, którą prowadzono w bieli. Bo to rzecz naturalna, nikt już nie tłomaczył sobie téj sprawy po ludzku, zwyczajnym sposobem, ale każdy w niéj widział cudowność. Legenda obleciała wszystkie przemieścia, aż pod okopy i Wolę i Ujazdów. I jakże tu wierzyć nie było, kiedy co chwila przybywały nowe szczegóły do opisu téj nocnéj podróży Marji Ludwiki, kiedy świadków mnożyło się jak grzybów po deszczu, bo słysząc jak jeden i drugi i dziesiąty z żywą opowiadali wiarą o tém zdarzeniu, przekonywali się słuchacze i w siebie wmawiali że także widzieli.

Króla i dworskich jego ludzi legendy te nadzwyczaj obeszły. Napróżno zaprzeczano w pałacu śmieszności, napróżno przedstawiano rzecz jak się odbyła. Nikt z panów wytłomaczyć nie umiał, zkąd się wzięło fantazji ludowéj wziąść podkomorzego smoleńskiego za królowę, a deputatów sandomierskich za czartów. Dla tego tłomaczenie zagadki jasne było tylko dla ludzi wyższego społeczeństwa, ale nie dla ludu. Uporczywi twierdzili, że dworzanie plątają niepotrzebnie z sobą dwie rzeczy i powrót z pałacu deputacji i prowadzenie przez czartów Marji Ludwiki. Byli tacy, którzy widzieli na własne oczy deputatów, byli inni którzy widzieli orszak czartowski, a niektórzy twierdzili, że spotkali się deputaci z czartami i że rozbiegli się ze strachu, bo któżby nie ratował duszy? Więc nawet i ci pachołkowie dworscy, kórzy najlepiéj zaświadczyć mogli, że prowadzili panów, umilkli sądząc, że o czém inném mowa i polękali się sami.

Król zachorował ze zmartwienia, a przynajmniéj tak mówił, nie dopuszczał do siebie nikogo, oprócz pałacowych przyjaciół. Odprawił i księcia przymasa i kilku senatorów, którzy podówczas znajdowali się w mieście. Mówiono więc, że król bolał tak bardzo nad wypadkiem żony; w każdéj wieści z pałacu upatrywano dowód i pobożni żegnali się, obsypywani za życia jéj dobrodziejstwami modlili się, a uczeńsi przypominali św. proroków Eljasza i Elizeusza, że ich Bóg przyzwał żywcem do nieba, tu zaś przeciwnie szatani prowadzili żywcem królowę do piekła. Wtedy już winie jéj i stosunkom z djabłami uwierzyło najmniéj pół miasta i o niczém innéma mowy nie było w Warszawie, jak o tym smutnym wypadku przez cały dzień następny.

Po tym dniu następowała niedziela. Chciał biskup poznański, obecny podówczas w Warszawie, ów ks. Wierzbowski, który budował Górę Kalwarję, uspokoić te niedorzeczne, ubliżające królowéj wieści. Był to jego obowiązek jako pasterza miejscowego. Musiał to zrobić dla króla, dla dobra samej religji; toż władza duchowna ścierpieć nie mogła, nie powinna była, żeby tak mocno w dzień biały rozwijał się przesąd. Więcéj biskupowi jednak chodziło o króla, najboleśniéj tém wszystkiem zranionego. Polecił więc konsystorzowi swojemu, żeby wydał rozkazy po parafjach dla uspokojenia ludu. Nakazał zbijać legendę z ambon, objaśniać rzecz jak była. Słusznie spodziewał się biskup, że głos kościoła będzie wszechmocny, a silniejszy przynajmniéj od wszelkich powiastek ulicznych. W niedzielę zatém, po wszystkich kościołach parafjalnych Warszawy i przedmieść, ten sam był temat kazania; jedni kapłani odczytawszy ewangelję i objaśniwszy ją, wprost przechodzili do przedmiotu, którym się tak powszechnie zajmowano, drudzy nie dotykali nawet uroczystości kościelnéj i mówili wyłącznie o rzeczy. Obwiniali ciemnotę lub złośliwość. Odwracali lud od guseł, a prowadzili do Boga. U księży jezuitów miał piękne kazanie przyjaciel ks. Małachowskiego Młodzianowski, który podówczas przypadkiem w przejeździe z Piotrkowa do Lublina znajdował się w Warszawie. W kolegjacie u św. Jana wystąpił uroczyście sam biskup Wierzbowski.

Władza kościelna zrobiła swoje, ale nie usunęła z sumień wątpliwości. Przesąd był silniejszy jak wszystko. Tłomaczono i księży, że robią to z urzędu, z powinności, na rozkaz biskupa, na prośby królewskie. Owszem to wystąpienie duchowieństwa zaszkodziło jeszcze bardziéj sprawie, bo wyglądało szczerze na zmowę. Kapłanom, którzy nie widzieli orszaku czarnego, stawali w oczy ludzie, którzy go widzieli, tak, że proboszcz u Panny Marji na Nowem Mieście i kapelan brygidek zakonu kaznodziejskiego, stracili sprawę i wiarę u ludu. Echo rozchodziło się daléj po prowincji i nieraz potém jeszcze musieli kapłani lud uspokajać z kazalnicy i zawsze napróżno.

*(Dokończenie nastąpi).*

# SOBÓTKI.

Księżyc oświecał czystym i łagodnym blaskiem zwaliska starego opactwa Benedyktynów zapatrzyliśmy się na tę wspaniałą niegdyś budowę wzniesioną przez Bolesława Chrobrego i mał-



w Tyńcu piętrzące się na stroméj skale, u stóp której z cichym szmerem Wisła płynęła. Gdy żonkę jego pobożną Judytę, myśl tęskna wybiegła mimowolnie w odległe czasy wielkości

i chwały klasztoru. Opat Tyniecki pan na pięciu miastach i stu wsiach (*quinque civitatum et centum villarium dominus*) jak go zwali współcześni, podejmował niejednokrotnie królów swoich, nadających mu coraz nowe przywileje. Tutaj mistrz Długosz z Niedzielska podczas morowéj zarazy, chronił się przez kilka miesięcy z młodziuchnemi uczniami, a wśród królewskich pacholąt jaśniał już wtedy rzadkiemi zalety nasz Kazimierz Śty. Opat Mikołaj Mielecki, syn krakowskiego kasztelana w końcu XVIgo wieku założył w Tyńcu słynną światłemi nauczycielami szkołę; w tych murach legli w cichym grobie owi uczeni i pobożni zakonnicy, skrzętni i pilni przechowywacze drogich skarbów myśli. Wiele jeszcze i wiele innych późniejszych wspomnień które przytaczać byłoby zadługo, wiąże się z Tynieckiém opactwem. Rozsiane do koła zielone wzgórza, lasy i doliny napełnione wieśniaczemi chaty, tworzyły cudną oprawę do zwalisk, bielejących w groźnéj powadze wśród szarego zmroku, jak olbrzymi duch przeszłości. Nagle głęboka zaduma nasza rozproszona została niby dotknięciem różczki czarodziejskiéj, zmieniającéj w jednéj chwili cały krajobraz. Blask krwawéj łuny przyćmił gwiazdy wieczorne i wszystkie wyżyny gór zabłysły w ognistéj koronie rozpalonych świateł, a Wisła odbiwszy je w swych nurtach płomienne toczyła fale. Na ciemném tle nocy rysowały się snopy i krzewy ogniste, a jedną razą nawet ptak gorejący rozpostarł opiekuńcze skrzydła po nad ziemią; myrjady iskier tryskały w niebo spadając ognistym deszczem, a wśród nich jak piekielne widziadła jawiły się ludzkie postacie zawodząc fantastyczny taniec. Niepodobna wypowiedzieć dzikiego uroku tego obrazu przenoszącego w mroczne czasy mytycznych przedchrześcijańskich dziejów. I nie dziw — gdyż był to pogański obchód Sobótek, który przetrwał aż do dni naszych, pomiędzy ludem z okolic Krakowa i Sandomierza.

Niewiadomo dokładnie co dało początek téj uroczystości; uczony profesor W. A Maciejowski tak o niéj wspomina w dziele swém pod tytułem: *Polska i Ruś pod względem obyczajów i zwyczajów*.

„Rej mówi, że w dzień św. Jana gmin polski opasuje się bylicą i całą noc skacze około ognia. Najobszerniéj rozwiódł się w téj mierze Marcin z Urzędowa, który powiada że w czasie uroczystości sobótek, lud śpiewał różne djabelskie pieśni, tańcami je obchodząc.

W zbiorach pieśni gminnych znajdujemy rozliczne pienia ściągające się do tego obrzędu, które po tylu wiekach w przeistoczonéj do nas postaci doszły. W jakim one celu śpiewywane były i coby znaczył cały ten obrządek, nakoniec zkąd nazwisko jego pochodzi odgadnąć teraz niepodobna. Narbutt (w dziejach swoich narodu litewskiego, str. 306), wyprowadza go od sobit, co znaczy przysposabiać czyli zasób czynić, jakoby pamiątka sobótek przypominała chwilę przysposabianie się do prac polnych, gdyż w cieplejszych zwłaszcza kraiach święto tego rodzaju stykało się prawie z kośbą. Raczéj przypuścićby należało, że obrządek ten przypominał dawną słowiańsko-pogańską uroczystość Rusałek, obchodzoną w czasie przypadających teraz Zielonych Świątek, którą przeciągając lud, jak równie i inne tego rodzaju obrzędy, obchodził jeszcze w wigilję św. Jana Chrzciciela; naprowadza na ten domysł uwaga p. K. Wł. Wojcickiego, że niektóre sobótkowe pieśni polskie zgadzają się z czeskiemi śpiewkami o rusałkach.

Sobótki świadczą, jak trudno wykorzenić wyobrażenia wszczepione w sercach ludu. Były albowiem czasy w których księża znieść je chcieli koniecznie, lecz widząc, że to niepodobna, zmienili ten obrząd na chrześcijańską niby uroczystość, upoważniając do zapalenia ogni w wigilję Zielonych Świątek na pamiątkę Zesłania Ducha św. w postaci języków ognistych. Obrząd sobótek wspólny jest wielu krajom, do dziś dnia przechował się w Alzacji, gdzie jak to przedstawia rycina nasza, odprawiają też same tańce wśród płomieni nadające całemu obchodowi jakąś dziką, piekielną barwę.

*A. z Ch. Borkowska.*

---

# DOM O SIEDMIU WIEŻYCZKACH.

Powieść Amerykańska Nathaniela Hawthorne.

(*Ciąg dalszy*).

Pyncheon przyłożył usta do ręki córki, a w pocałunku tym, był taki wyraz rozbudzonego do niéj przywiązania w jego sercu, iż niewątpił że się ocknąć powinna; gdy pozostała zawsze jednakowo niewzruszoną, wstrząsnął nią tak silnie, że za chwilę przeraził się sam swéj porywczości. Skoro odjął rękę którą ją obejmował, kibić Alicji obsunęła się znów martwa i bezwładna na krzesło, tylko gdy Maule zmienił miejsce, twarz jéj nieznacznie zwróciła się ku niemu, jak gdyby w zaczarowanym śnie swoim, jego jednego uznała za przewodnika i władcę.

Pan Pyncheon, jakkolwiek nawykł do oby-

czajów wyższego społeczeństwa, na widok ten zapomniał całéj godności swojéj, serce jego biło gwałtownie naprzemiany wściekłością, obawą i smutkiem.

— Nikczemniku! zawołał, w zmowie z piekłem skradłeś mi córkę moję, powróć mi ją natychmiast, lub zginiesz na rusztowaniu jak dziadek twój!

— Zwolna panie Pyncheon, zwolna rzekł cieśla z pogardliwym spokojem, niech wasza miłość nierozdziéra tak pięknych ozdób koronkowych swéj sukni, bo szkoda ich prawdziwie. Czyż to moja wina, że sprzedałeś córkę za nadzieję wydostania kawałka zżółkłego pargaminu. Miss Alicja spi spokojnie; zobaczmy teraz czy okaże się równie zimną dla Mathew'sa Maule jak była przed chwilą dla cieśli.

Przemówił do niéj. Alicja odpowiedziała ze słodkim uśmiechem pochylając się przytem ku niemu, jak płomień pochodni nagięty wiatru podmuchem. Skinął ręką, a w téjże chwili, lubo zawsze z zamkniętemi oczami, powstała i zbliżyła się do niego; skinął znów, aby powróciła na swoje miejsce i natychmiast usiadła napowrót.

— Należy ona teraz do mnie jedynie, rzekł Maule z dumą, jest niewolnicą woli mojéj!

. . . . . . . . . . . . . . . . .

Nie będziemy powtarzać opowiadania legendy, w jaki sposób potem Maule przemawiał do Alicji, aby od pogrążonéj we śnie magnetycznym, dowiedzieć się o zagubionych papiérach, gdyż cała ta czynność nie przyniosła pożądanego skutku i uśpiona dziewica mówiła tylko, że widzi trzy postacie, z których dwie (jak się można domyślać z opisu, dziadek i ojciec Maula) zakrywały usta trzeciemu (pułkownikowi) ilekroć chciał przemówić.

— Zdaje się, rzekł Maule, że zmuszenie go do tajemnicy, któréj wyjawieniem zbogaciłby swych potomków, jest karą wymierzoną dziadowi waszemu na tamtym świecie. Znajdziecie pewno wtedy te papiéry gdy się już na nic nie przydadzą nikomu. Pozostańcie więc nadal w posiadaniu domu o siedmiu wieżyczkach; jest to dziedzictwo kupione zbyt drogo ceną przekleństwa, żeby odjęte być miało potomkom nabywcy.

Pan Pyncheon chciał odpowiedzieć na to, lecz gniew głos mu stłumił i z piersi wydobył się jęk spazmatyczny, przypadłość właściwa wszystkim członkom rodu Pyncheon'ów w chwilach wzruszenia, któréj początek przypisywano przekleństwu czarownika.

— Ach! zawołał cieśla z szyderczym uśmiechem, widzę szanowny panie, że cię dusi krew starego Maule'a.

— Szatanie w ludzkiém ciele! przemówił Pyncheon, skoro tylko przyszedł do siebie, oddaj mi córkę, a potem idź precz z oczów moich.

— Miss Alicja do mnie już tylko należy, nie będę jednak zbyt okrutnym dla niéj i pozostawię ją pod opieką ojca. Domawiając tych słów Mathew Maule pociągnął kilkakrotnie rękami w powietrzu i piękna Alicja obudziła się natychmiast nie zachowując pamięci o swém dziwném uśpieniu. Łagodny wyraz jéj oblicza zmienił się, znikł ustępując miejsca surowéj powadze, gdy spojrzała na Maule'a, niepodobał się jéj bowiem tryumfujący uśmiech cieśli.

. . . . . . . . . . . . . . . . .

Niestety! cóż się stało późniéj z tą słodką i piękną, lubo nieco dumną Alicją? Owładnięta tajemniczą siłą w moc któréj oddała ją chciwość ojca, wlokła żywot męczeński, ulegając mimochętnie najdziwaczniejszym zachciankom obcéj woli. Gdziekolwiek się znajdowała, czy to u siebie, czy przyjmując znakomitych gości w pokojach ojca, czy modląc się u stóp ołtarzy, musiała być posłuszną jeżeli Maule skinął ręką w swéj ubogiéj chatce. „Śmiéj się Alicjo!“ wymówił lub czasem pomyślał tylko cieśla, wtedy chociażby wśród pogrzebu Alicja musiała w głos się rozśmiać. „Bądź smutną Alicjo!“ i w téjże chwili łzami się zalewała. „Tańcz Alicjo!“ rozpoczynała zaraz jakiś dziwaczny wiejski taniec, niepodobny wcale do poważnych menuetów, których ją uczono w Europie. Zdawało się, że Maule nie chciał skazywać Alicji na niedolę obudzającą ogólne współczucie, ale raczéj ośmieszając ją, pragnął upokorzyć jéj dumę, i niemógł w istocie wymyśléć okropniejszéj zemsty, albowiem biédna dziewczyna w tém codziennném poniżeniu godności swojéj, czuła się nieszczęśliwszą od najnędzniejszéj istoty na ziemi.

Pewnego wieczoru Alicja podczas uroczystości zaręczyn przyjaciołki (gdyż nieposiadając wolnéj woli za grzech dla siebie uważała zamęźcie) zawezwaną została przez swego niewidzialnego ciemięzcę. Strojna w gazową suknię i lekkie atłasowe trzewiki, pobiegła do ubogiego domku rzemieślnika z którego córką Maule obchodził zaślubiny, służyć za druchnę jego narzeczonéj. Po skończonych weselnych godach, obudziła się z magnetycznego uśpienia swego, ale wtedy po raz piérwszy niedoznała już męczarni upokorzonéj dumy, przeciwnie uściskała młodą żonę Maule'a ze słodkim i smutnym uśmiechem, a potém powróciła spokojnie do domu. Noc była posępna i dżdżysta, wiatr ostry na wskroś przejmował leciuchną suknię, a atłasowe trzewiki nieochroniły nóg od przemoczenia. Nazajutrz Alicja była mocno zakatarzoną, późniéj kaszlać zaczęła i gorączkowe rumieńce zakwitły na jéj licach, a późniéj jeszcze tak się stała wątłą i bladą, że przypominała raczéj ducha niż żyjącą istotę. Dzień cały siedząc przy fortepianie, napełniała dom odgłosem muzyki, która wydawała się być wszystkim, echem chórów niebiańskich. Ale bo téż wielka niebiańska radość napełniła serce dziewicy, gdy zniosła chętnie i pokornie ostateczne upokorzenie swoje, gdy zwalczyła dumę, która była jedynym grzechem wiążącym ją jeszcze do ziemi!

Wkrótce potém Pyncheonowie sprawili jéj

pogrzeb wspaniały, towarzyszył mu liczny orszak przyjaciół i krewnych, na końcu szedł Mathew Maule zaciskając ręce jak gdyby niemi miał rozedrzeć własne serce. I nie dziw,— nikt nie był nieszczęśliwszy od niego w owéj chwili, pragnął upokorzyć Alicję, lecz nigdy zabijać jéj nie chciał. Wziął w swe silne i zgrubiałe od pracy dłonie wątłą duszę niewiasty aby z nią poigrać, a ta niewiasta umarła nie mogąc przenieść igraszki.“

Holgrave przeczytał swoję powiastkę z całym zapałem młodego pisarza, któren pragnie uczynić silne wrażenie na słuchaczu i w końcu dopiero spostrzegł, że Phœbé wpadła w pewien rodzaj odrętwienia, wywołanego zapewne ruchem rąk jego, naśladującym pociągi magnetyczne Maule'a. Oczy miała na wpół przymknięte, a głowę pochyliła ku artyście jak gdyby poruszenia swoje stosować chciała do skinień jego, słowem w całéj jéj postawie wyraźne były objawy ciekawego psychologicznego zjawiska, wywołanego mimowolnie przez Holgrave'a; dość było teraz aby wyrzekł jedno słowo żeby zapanować nad tą dziewiczą dumą równie silnie, a może i równie nieszczęśliwie, jak Mathew Maule nad biédną Alicją. Musimy więc przyznać, że nasz artysta miał w wysokim stopniu poszanowanie dla indywidualności bliźniego, skoro powstrzymał się od dalszéj próby i poruszywszy kilka razy ręką od dołu do góry, żartować zaczął z Phœbé, że zasnęła słuchając jego powieści. Skoro potem zeszli do ogrodu, już rozmowa ich przeszła na inny przedmiot.

. . . . . . . . . . . . . . . .

— „Zdaje mi się, rzekł Holgrave, że w życiu mojém nie widziałem piękniejszego wieczoru nad dzisiejszy i że nie doznawałem nigdy takiego uczucia szczęścia. Bądź co bądź, świat jest piękny. Dom ten i ogród wydawał mi się niedawno podobnym do kostnicy i cmentarza, nie sądziłem aby mógł kiedykolwiek czynić wrażenie Edenu, napełnionego piérwszemi różami, które wyszły z rąk Stwórcy. Promienie księżyca zmieniają zupełnie otaczające nas przedmioty.

— Byłam nieraz szczęśliwszą i weselszą aniżeli w chwili obecnéj, odparła Phœbé, nie zważałam jednak wcale na światło księżyca i nie pojmuję czemu dziś ma tyle dla mnie uroku.

— A więc wpiérw nie przemawiało do twego serca? rzekł artysta wpatrując się w nią z zachwyceniem.

— Nie zwracałam dotąd na nie uwagi, równie jak na życie, na które teraz zapatruję się odmiennie. Niestety! nie będę już nigdy równie swobodną, jak w czasach gdy nie znałam Clifforda i Hepzibah. Zestarzałam się wkrótce pomiędzy niemi, oddałam im niejako świetną zorzę méj młodości, lecz ofiary téj nie żałuję, bo stałam się rozumniejszą, mniéj lekkomyślną.

— Nie straciłaś nic coby zachować warto, rzekł po chwili namysłu Holgrave. Piérwsza młodość przechodzi niepostrzeżenie i oceniamy wtedy dopiéro jéj wartość gdy przeminie. Częstokroć jednakże, jeżeli wyjątkowe nieszczęścia nas nie dotkną, miłość obudza w sercu naszém jakby poczucie drugiéj młodości. Wtedy poznajemy dopiéro, że nie warto żałować piérwszego poranku życia, to jest tego za czém tęsknisz dzisiaj.

— Nie rozumiem pana dobrze.

— Nic dziwnego, bo obecnie nie pora po temu dla ciebie. Skoro później poznasz prawdę słów moich, wspomnij dzisiejszą rozmowę naszą i ten wieczór oświecony promieniem księżyca.“

. . . . . . . . . . . . . . .

— „Późno już, muszę wracać, rzekła przerywając rozmowę Phœbé. Hepzibah nie jest zbyt biegłą w arytmetyce i gdy jéj nie pomogę w całodziennych rachunkach, dostanie bólu głowy.

— Miss Hepzibah mówiła, że pani ztąd wyjeżdżasz na dni kilka, rzekł Holgrave, zatrzymując ją jeszcze.

— Chciałam odwiedzić moją matkę i przyjaciół, lecz powrócę tu niezadługo bo czuję, że jestem dla moich krewnych użyteczną i pożądaną...

— Tak jest w istocie, wniosłaś pod dach ich spokój i życie, które uleci gdy próg ten przestąpisz.

— Widzę, że usługi moje są im przydatne, czuję przytém dla obojga przywiązanie niby macierzyńskie... Nie śmiéj się pan z tego, lecz powiedz mi raczéj, czy sam masz dla nich przyjazne uczucia?

— Jakżebym mógł być obojętnym dla téj biédnej kobiéty, pochylonéj pod ciężarem lat i nędzy, lub dla jéj brata, tego wielbiciela piękna, upadłego zarówno na siłach moralnych jak fizycznych. Kogóżby nie zajął los tych starych opuszczonych dzieci? Różnimy się jednak bardzo w uczuciach naszych dla nich, co do mnie bowiem raczéj aniżeli im przyjść w pomoc, mam zamiar badać ich usposobienie, aby lepiéj zrozumieć dramat odgrywający się od lat dwustu w tych miejscach. Jakiekolwiek nastąpi rozwiązanie, czy smutne czy wesołe, pewien jestem, że widząc je, zostanę moralnie zadowolniony, że czas ten musi być bliski i Opatrzność zesłała tutaj ciebie w roli anioła pocieszyciela, mnie zaś przeznaczyła rolę widza, co jednak nie przeszkadza abym pośpieszył z pomocą nieszczęśliwym.

— Chciałabym abyś pan okazał więcéj chrześcijańskie i ludzkie uczucia i objawił wyraźniéj myśl swoję, odparła z niepokojem i nieukontentowaniem Phœbé. Wyrażasz się o tym starym domu jak o teatrze i zapatrujesz na nieszczęścia rodziny naszéj, jak na tragedje, które widziałam przedstawiane przez wędrownych aktorów. Byłabym bardzo zmartwiona gdyby w istocie podobna tragedja odgrywać się miała tutaj w naszéj przytomności,

bo kosztowałaby zbyt wiele wzruszenia aktorów, a zbyt mało obojętnych widzów.

— Sądzisz mię surowo, odparł Holgrave przyznając w głębi duszy, że Phœbé nieźle odmalowała jego usposobienie.

— Dlaczegóż mówisz że koniec się zbliża? czyż wiedziałbyś o jakiém nieszczęściu grożącém Cliffordowi i Hepzibah? jeżeli tak jest, nie opuszczę ich wcale.

— Daruj mi to moje przywidzenie, nic nie wiem w istocie, lecz mam usposobienie do mistycyzmu... wypływa ono pewnie zarówno z méj natury, jak z siły magnetycznéj którą posiadam... w dawniejszych czasach siła ta zaprowadziłaby mię na szubienicę jako czarownika. Gdybym wiedział z pewnością, że coś zagraża przyjaciołom naszym, nieomieszkałbym cię uprzedzić przed odjazdem.

— Jesteś pan upartym...

— Bynajmniéj, powtarzam raz jeszcze, że nie posiadam innych tajemnic prócz moich własnych, zauważałem tylko, że sędzia Pyncheon z nieznanéj mi przyczyny śledzi ciągle biédnego Clifforda, na którego nieszczęście niemało zapewne wpłynął. Jest to człowiek nieugięty, prawdziwy rodzaj inkwizytora, któryby się nie wahał wziąść na tortury swéj ofiary, gdyby miał przekonanie, że coś od niéj wybada. Nie rozumiem, czegoby mógł żądać od biédnego, nawpół bezwładnego idjoty, a jednak przez to samo, że mieszkam w domu Pyncheonów zdaje mi się, że tu musi odegrać się dramat, któremu Bóg przeznaczył mię za świadka.

— Zawsze mówisz tajemniczo i niepokoisz mię nad wyraz.

— Rozdzielmy się więc dobremi przyjaciołmi, bo lękam się, abyś nie zaczęła mię nienawidzieć, mimo że kochasz wszystkich...

— Bywaj więc pan zdrów! Byłabym zmartwioną gdybyś sądził, że się gniewam. Hepzibah czeka na mnie, bywaj zdrów! dobranoc!“

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Nazajutrz rano Phœbé opuściła przyjaciół swoich ze łzami w oczach; dziwiła się sama jak mogła tak w krótkim czasie pokochać milczącą i smutną Hepzibach i uważać Clifforda, tę istotę upadłą, owego tajemniczego zbrodniarza, jako naiwne dziecię powierzone jéj staraniom przez Opatrzność! Żegnała oboje z wielkiém wzruszeniem, obiecując szybki powrót i uleciała w daleką stronę na skrzydłach pary, podobna do dobrych aniołów, do których przyrównywał ją zwykle wuj Venner, zostawując miejsce, które zamieszkiwała w smutném opustoszeniu. Po jéj odjeździe Clifford nie chciał wychodzić do ogrodu. Musiał natomiast zapewne szukać rozrywki w domu, bo z wielkiém zadziwieniem siostry począł grać na fortepianie Alicji. Hebzibah wiedziała że dawniéj grywał pięknie, niepojmowała jednak jak mógł nie zapomnieć muzyki przez tak długi przeciąg czasu, dziwiła się również jak z tego starego fortepianu można było wydobyć jeszcze tak rzewne tony. Mimowolnie przyszła jéj na myśl legenda ludowa, że fortepian Alicji odzywa się niekiedy, aby zapowiedzieć śmierć jednego z rodu Pyncheonów. Nie musiała to być jednakże gra ducha, gdyż po kilku tak silnych akordach, że aż strony od nich popękały, muzyka ucichła nagle. Niezadługo potém, gdy umilkła tajemnicza harmonja, odezwał się poruszony mocno dzwonek sklepowy.

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Hepzibah wyszła z przestrachem do przybyłego gościa; nie nie omyliło ją przeczucie gdyż byłto sędzia Pyncheon, który nie mogąc się dostać przez główne wejście zawsze zamknięte przed nim, umyślił tą razą przez sklep wejść do domu.

— „Jakże się miewasz kuzynko Hepzibah, jak się miewa biedny Clifford podczas téj brzydkiéj pory? rzekł z uśmiechem tak słodkim, że nim rozbroić był powinien wszelkie srogości nawałnicy. Nie mogłem sobie odmówić raz jeszcze, przyjemności ofiarowania wam mych usług.

— Nie potrzebujemy ich panie sędzio, odparła Hepzibah wstrzymując wzruszenie, poświęciłam się całkiem dla Clifforda i jest mu tu jak najlepiéj.

— Pozwól sobie powiedzieć kochana kuzynko, że z najlepszemi chęciami źle postępujesz, trzymając brata w takiém odosobnieniu od świata; aż nadto już długo pozostawał on w samotności, powinien by teraz żyć z ludźmi, widywać przynajmniéj krewnych i dawnych przyjaciół. Pozwól mi odwiedzić go, a zobaczysz ile na tém skorzysta....

— Nie może się teraz z nikim widzieć, bo leży chory.

— Jakto chory! zawołał sędzia unosząc się gniewem, kiedy chory muszę koniecznie być u niego, bo gdyby umarł....

— Nie jest wcale bliskim śmierci, rzekła Hepzibah z goryczą. Niebezpieczném dla niego jedynie jest prześladowanie człowieka, który dawniéj czyhał na jego zgubę.

— Czyż podobna kuzynko, mówił sędzia głosem pełnym zapału, który następnie przemienił się w ton łzawy, czyż podobna abyś zachowała do mnie żal niechrześcjański za postępowanie, które mi nakazywało sumienie, obowiązek i prawo? Czyż uczyniłem cośkolwiek z krzywdą Clifforda do czegobym nie był zmuszony? Ty sama lubo z wielkim żalem moim zdajesz się nie wiedzieć o tém, czyżbyś mogła okazać mu wówczas więcéj tkliwości? Czyż sądzisz że cała ta sprawa mało mię kosztowała zgryzoty? Och! nawet w pośród pomyślności, którą mię późniéj udarowało niebo, zachowałem o niéj pełne goryczy wspomnienie. Czy myślisz że nie cieszę się wraz z tobą tém, że uczyniwszy zadość prawu, oddano wreszcie światu i jego uciechom przyjaciela mojéj młodości, naszego kochanego Clifforda, który jeżeli popełnił zbrodnię, to ją zmazał tak długiém nieszczęściem. Ach! jakże mię znasz ma-

ło! jaką obelgę wyrządzasz memu sercu, jak łatwo zapominasz o łzach, które wylałem nad nieszczęściem twego brata! Wszak one płyną jeszcze w tej chwili! Zaklinam cię przez nie, abyś raz na zawsze zaniechała twych przywidzeń i uwierzyła w szczerość moję!

— Na Boga! zawołała Hepzibah oburzona tém rozrzewnieniem, na Boga! któremu bluźnisz, tak, że zwątpić by można o jego istnieniu, skoro w tejże chwili nie karze cię za twą śmiałość, proszę cię, zaprzestań zepewnień czułości dla twéj ofiary. Nienawidzisz Clifforda, powiedz to otwarcie, wyznaj, że w téj chwili nawet knujesz coś przeciw niemu... Nie mów mi o twém przywiązaniu dla niego, bo gdyby długo potrwać miała podobna komedja, straciłabym zmysły; zamilknij więc, bo czuję że inaczéj znienawidzić bym cię mogła!

Gniew ośmielił Hepzibah przełamawszy pierwsze lody, wypowiedziała wszystko co jéj ciężyło na sercu. Nie wiemy czy w téj niestosownéj nieufności, którą wciąż okazywała sędziemu, było sprawiedliwe ocenienie jego charakteru, czy też tylko jedno z tych uprzedzeń namiętnych, jakim tak często podlega piękniejsza połowa rodzaju ludzkiego.

. . . . . . . . . . . . . . . . . .

Z początku twarz sędziego wyrażała słodkie pobłażanie i usposobienie prawdziwie chrześcijańskie, do wybaczenia kuzynce popełnionéj niesprawiedliwości; gdy jednakże mimo to, ostre słowa nie przestawały się sypać z ust jéj, zmienił zwolna wyraz oblicza; przebijała w niém teraz surowość wraz z zaufaniem we własnéj sile i nigdy nieprzypominało tak żywo wizerunku pułkownika Pyncheon. Przez chwilę Hepzibah sądziła, że w istocie wylewa gorycz swego serca na starego purytanina.

— Hepzibah, rzekł zwolna, czas już skończyć sprzeczkę naszą.

— I ja tak sądzę, ale czemuż upierasz się aby nas przesladować, zostaw mię w pokoju wraz z Cliffordem, wszak więcéj niczego od ciebie nie żądamy?

— Mam zamiar widzieć Clifforda zanim dom ten opuszczę, może okaże się cokolwiek rozsądniejszy, Hępzibah zaprowadź mię do niego, wszak jestem waszym jedynym przyjacielem i wiész że posiadam dość władzy w kraju. Czyż w istocie nie dorozumiewasz się, że gdyby nie moje starania, Clifford jęczałby dotąd w więzieniu? Mnie jedynie winien wolność swoję.

— Tobie? o, temu nigdy nie uwierzę! winien ci tylko więzienie swoje; a Opatrzność sama go ztamtąd wyzwoliła.

— Powtarzam że uwolniłem go, rzekł jeszcze z niezachwianą powagą sędzia, dziś chciałbym się przekonać czy godzien jest zachować nadal swobodę swoją... będzie to zależeć od niego samego, chciałbym go widzieć przeto...

— Nigdy! przyprawiłbyś go o pomieszanie zmysłów, zawołała Hepzibah. W głosie jéj przebijało lekkie wahanie, które nie uszło bystréj uwagi sędziego. Rzeczywiście nie wiedziała co jest mniéj niebezpieczném dla niéj: ustąpić, czy też postawić na swojém.

— Czemuż chcesz koniecznie widzieć tego nieszczęśliwego, którego umysł i tak już bardzo osłabiony, rzekła, odwiedziny człowieka tak źle usposobionego względem niego, mogą, tylko jak najgorsze pociągnąć za sobą skutki.

— Jakże wiész że jestem mu nieprzychylnym? odparł sędzia pokładając więcéj niż kiedy zaufania w swéj zręczności. Otóż wyjaśnię ci całą przyczynę mego postępowania, tylko posłuchaj mię uważnie. Trzydzieści lat temu w chwili śmierci mego wuja Jaffrey'a dowiedzioném zostało skutkiem przedśmiertnych rozporządzeń jego, że posiadać musiał daleko większy majątek, aniżeli ten który pozostawił. Wiész zapewne, że uczynił mię jedynym swym spadkobiercą, zastrzegając tylko dla ciebie używalność dożywotnią starego domu o siedmiu wieżyczkach.

— Czy chcesz nam go wydrzeć? przerwała Hepzibah nie mogąc dłużéj ukryć gorzkiéj pogardy dla sędziego, czy pod tym warunkiem tylko myślisz położyć koniec prześladowaniu Clifforda?

— „Nie kochana kuzynko, odparł złagodnym uśmiechem sędzia. Przeciwnie, mam zamiar podwoić, potroić nawet wasze dochody, jeżeli tylko przystaniesz na to. Ponieważ jednak, jak już mówiłem wyżéj, słusznie wnoszę że majątek pozostawiony mi przez wuja jest o dużo większy nad to, co po nim odziedziczyłem, chciałbym się porozumieć z Cliffordem, w nadziei, że może wykryje mi miejsce, w którém zachowane być muszą te skarby.

— Clifford! Clifford miałby ukrywać wasze pieniądze, Clifford mógłby was zbogacić! ależ to śmiesznie i niepodobna abyś był przekonany o prawdopodobieństwie podobnego wypadku!

— Mówię tylko szczerą prawdę, którą gotów jestem stwierdzić przysięgą, rzekł sędzia uderzając jednocześnie laską i nogą w podłogę, jak gdyby w ten sposób chciał stwierdzić siłę przekonania swego. Clifford sam kiedyś mi o tém wspominał,

— Nie, to być nie może, śnisz kuzynie Jaffrey'u.

— Nie należę bynajmniéj do marzycieli; na kilka miesięcy przed śmiercią stryja, Clifford chwalił się przedemną świadomością miejsca, w którém są ukryte skarby, chciał obudzić w ten sposób moję ciekawość, przypominam sobie dziś doskonale tę rozmowę; nie zwodził mię, gdyż postawa jego i słowa miały cały pozór prawdy.

— Ale w jakimże celu ukrywałby tak długo rzecz podobną?

— Był przeciw mnie źle usposobiony i chciał mię może ukarać w ten sposób; teraz jednakże nadszedł czas, w którym musi wyznać wszystko

— A gdyby nie chciał? mam bowiem silne

przekonanie że nic nie wié, cóżbyś więc począł wtedy?

— Kochana kuzynko, rzekł sędzia z przerażającym spokojem, od powrotu Clifforda śledziłem wszystkie jego kroki. Sąsiedzi wasi, którzy mi w tém dopomagali, zaświadczą w razie potrzeby, że umysł jego pomieszany; jednym z najlepszych dowodów na poparcie téj prawdy, będzie niedawno zaszła scena w oknie. Tysiące ludzi widziało jak chciał wyskoczyć podczas przechodu processji, w razie zaś gdybyśmy mu dowiedli obłąkania, co z łatwością przyjdzie, pozostałby na resztę życia uwięziony w domu warjatów.

— Nie, to być nie może, zawołała z rozdzierającą boleścią Hepzibah, nie może być abyś powziął to straszne postanowienie.

— Jeżeli Clifford, rzekł sędzia bez najmniejszego wzruszenia, przez niechęć dla mnie odmówi memu żądaniu, tém samém już będzie świadczyć że nie jest zdrów na umyśle i wtedy z czystém sumieniem będę go mógł osadzić w domu obłąkanych.

— O Jaffrey'u, Jaffrey'u! zawołała smutnie Hepzibah, ty to raczéj sam chory jesteś na umyśle; nie czujesz świętości związków rodzinnych, nie wiész, że ludzie miasto prześladowania winni pomoc jedni drugim. Zestarzałeś się już i nie dość ci jeszcze tego co masz, pożądasz po nad grobem bogactw, których i tak już masz dostatek; za połowę tego co posiadasz, mógłbyś zbudować dom równie wspaniały jak ten był niegdyś, otoczyć się blaskiem zbytku i zostawić jeszcze synowi spadek, dla odziedziczenia którego, będzie może błogosławił godzinę twéj śmierci. Po cóż więc masz popełniać czyn, tyle okrutny a tak szalony, że niewiem prawdziwie czy mu przystoi słuszne zbrodni miano! Niestety! kuzynie płynie niezaprzeczalnie w twych żyłach krew starego pułkownika, który chciwością swą ściągnął na rodzinę naszą przekleństwo ścigające ją od lat dwustu.

— Na miłość Boga! kuzynko, rzekł sędzia zniecierpliwiony jéj mową, jak przystało na rozsądnego człowieka, który słuchać musi baśni, dajmy pokój temu i mówmy rozumnie, powiedziałem już raz i nie cofam tego, że Clifford może być ukaranym, jeżeli mi nie wypowie wiadoméj sobie tajemnicy. Niechże się więc prędko namyśla, bo nie mam czasu do stracenia.

— Clifford nie zna żadnéj tajemnicy odparła Hepzibah, a Bóg nie dozwoli abyś popełnił czyn tak haniebny.

— Zobaczymy to późniéj, tymczasem staraj się, aby cały interes zakończony został w dobry sposób i nie wzbraniaj mi widzenia z Cliffordem, inaczéj bowiem ściągniesz na siebie wielką odpowiedzialność.

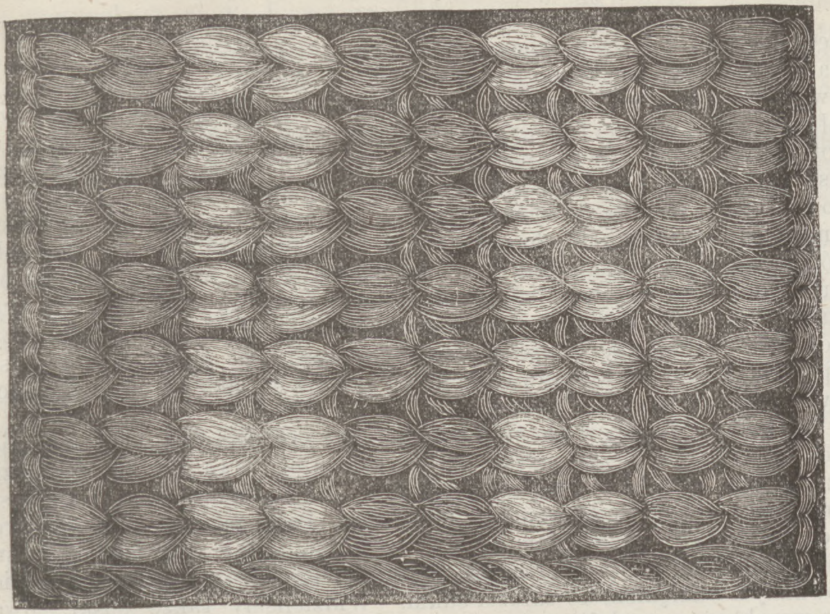
— Jestem słabą, a ty jesteś nielitościwym, rzekła Hepzibah po chwili milczenia. Clifford nie jest jeszcze obłąkanym, ale może nim zostać po widzeniu, którego się tak domagasz. Mimo to znając cię, wiem że lepiéj uczynię gdy zezwolę abyś się mógł sam przekonać jak niepodobnemi do prawdy są twe urojenia. Proszę cię jednak, bądź miłosiernym dla biédnego brata mego, miłosierniejszym niż serce twoje ci doradzić może, bo Bóg patrzy na ciebie Jaffrey'u Pyncheon!

Sędzia opuścił sklep wraz z Hepzibah i poszedł do wielkiéj sali gdzie rozsiadł się w starém dużém krześle. Wszyscy poprzedni Pyncheonowie szukali w niém niejednokrotnie spoczynku; dzieci zasiadały tam znużone wesołą zabawą, młodzi śnili o miłości, ludzie dojrzali rozmyślali o troskach życia, starzy pochyleni laty drzemali spokojnie, a podanie mówi, że pułkownik Pyncheon siedząc w tém samém krześle przyjmował gości po śmierci. Od owéj chwili nie zasiadł tam pewno człowiek więcéj smutny i znękany od sędziego Pyncheon. Jakkolwiek był nielitościwym, jednakże widok krewnego, którego żywcem w grób wtrącił na lat trzydzieści, mocno mu był niemiłym, tém bardziéj że rozpoczynał z nim sprawę, która znów mogła pogrążyć go w tęż samą otchłań, z któréj się zaledwie wydostał.

— Czy mówisz do mnie? zapytała wychodząc Hepzibah, zdało jéj się bowiem, że sędzia przywoływał ją odmieniwszy zdanie.

— Nie, nie, odparł Jaffrey ściągając brwi groźnie, podczas gdy twarz jego pokrywała się sinym rumieńcem, idź prędzéj po brata, bo czas do rozmowy krótki. Wziął potém zegarek w rękę, aby nań rachować minuty ubiegające do przyjścia Clifforda.

*(d. c. n.)*



Robota szydełkowa z grubéj berlińskiéj włóczki.

Wzór szydełkowy, który podajemy, może być użytym na kołdry, dywaniki; potrzeba do téj roboty włóczki grubéj, tak nazwanéj berlińskiéj w dwóch kolorach naprzykład: białym i błękitnym.

Grubém drewnianém szydełkiem zrób łańcuszek długi, jak szerokie chcesz mieć pasy.

1 rzęd: podnieś wszystkie oczka łańcuszkowe okręcając nitkę około szydełka za każdém oczkiem.

2gi rzęd: okręć nitkę około szydełka, przeciągnij przez trzy oczka, znów okręć nitkę i przeciągnij przez trzy oczka, tym sposobem spuścisz wszystkie oczka co były na szydełku, (puszczaj tylko lekko nitkę, żebyś miała wolne oczka do podnoszenia).

3ci rzęd: podnieś razem wziąwszy dwa piérwsze oczka z trzech spuszczonych poprzedniego rzędu, będziesz miała jedno oczko na szydełku; podnieś zwierzchnią nitkę która jest ponad trzema spuszczonemi, to będzie drugie oczko na szydełku. Podnieś jeszcze tę, którą masz pomiędzy trzema spuszczonemi, będziesz miała trzecie oczko, powtórz tak aż do końca.

4ty rzęd: jak piérwszy.— 5ty rzęd: jak drugi.— 6ty jak trzeci; po zrobieniu dostatecznéj długości pasa weźmiesz drugi kolor na pas następny, w końcu spoisz wszystkie pasy.

---

Objaśnienie ryciny mód.

Fig. 1. Suknia *poult de soie*, popielata w srebrzyste paski, okrycie czarne aksamitne strojne koronkami i pasmanterją, kapelusz czarny aksamitny z takiemiż fioletowemi kwiatami.

Fig. 2. Suknia i paletocik z popielatéj popeliny, wyszycie czarną aksamitką, kapelusz czarny z białemi szarfami i podpięciem *cerise*.

# O UBIORACH.

Słynna słusznie z artystycznego smaku w wykończeniu ubiorów kobiecych pani Adela Hoffmanowa, powróciwszy z Paryża, gdzie udała się dla zaopatrzenia magazynu swego w artykuły stroju, powiadomiła nas o używanym obecnie kroju sukien. Staniki robią się zawsze bez bawetów, zupełnie gładkie, strojne tylko pasmanterją mieszaną ze stalą, kryształem, lub złotemi ozdobami. Ozdób podobnych w różnym rodzaju oglądałyśmy zapasy, zarówno służące do przybrania sukien i kapeluszy jak ubiorków na głowę. Opaski złociste do włosów, cekiny, łańcuszki weneckie lub w grubsze ogniwa, gałeczki i bąbelki do naszywania, oraz strzały, topory, puginały, które przepinają staniki, rękawy, berty i kokardy ze wstążek lub barbki koronkowe. Na podobnyż użytek są kamee czarne lub srebrzyste, łzy kryształowe i perłowe ozdoby. Jeżeli stanik zupełnie gładki nie dobrze przypada do szczupłéj figury, wtedy wierzchnia część jego od góry, układa się w płaskie fałdy, od których idzie druga połowa stanika gładka w kształcie szwajcarskiego pasa.

Klamry do pasków nie zbyt wysokie lecz za to szerokie, wyrabiane z jednéj sztuki blachy przezroczysto (a jour) zastąpiły owe wielkie sprzączki już zupełnie wywołane z użycia elegantek. Najmodniejsze paski wiążą się z boku na niezbyt długie końce z kutasikami. Paski takie są z różnokolorowych jedwabiów, przerabiane złotem i srebrem, lub z tejże materji co suknia z ozdobami jakie są u stanika. Pani Adela umie je zastosować z niezrównanym wdziękiem do całości sukni. Widzieliśmy także paski jedwabne wyrabiane w medaljony jak kamee. Zbyteczném jest powtarzać że podobna opaska podwyższa całość stroju do którego stosownie bywa dobrana, a otaczając również jak stan, ręce, tworzy piękne bransolety. Gipiury Cluny zawsze przybierają stanik około szyi, rękawy jednostajnego wązkiego kroju zdobne są u ramienia i u ręki pasmanterją mieszaną ze złotem, kryształem lub stalą. W ogóle moda największy nacisk kładzie obecnie na przybory sukni, tak że chcąc być strojnie a niezbyt kosztownie ubraną, więcéj prawie wydać trzeba na dodatki aniżeli na całą suknię, która téż za to może być z mniéj drogiego materjału.

Spódnice robią zawsze długie, powłóczyste, ścinane u góry w kliny ażeby nie powiększały objętości bioder. U dołu, do większego stroju dają różne garnirunki; w miejscu zaś zwyczajnych taśm, obszywają się na cal grubym jedwabnym sznurem, lub szeroką plecionką. Boki i przody przystrajają także niekiedy, lecz niema na to ogólnych przepisów; przystrojenie więc podobne zależy jedynie od gustu i zręczności osoby robiącéj suknię. Oglądałyśmy u pani Adeli koszulki kaszmirowe z zuawkami, pąsowe z ozdobami czarnemi ze złotem i czarne z fioletowym i złotym przyborem. Takież same pasy ściskały je w stanie. Spódnica mogła być w kolorze do upodobania. Ubiór taki może być używany do bardzo eleganckiego stroju zarówno w dzień jak na wieczór. Widziałyśmy także tiulowe białe staniki strojne w błękitny aksamit ze srebrem, lub czarny ze złotem, wycięte, z krótkiemi rękawami do sukien balowych; staniki te wkładają się na gładkie staniki innych sukien i są w różnych kształtach. Niektóre tworzą niby szerokie berty z rękawkami, inne epoletki z szelkami i te zowią się: *genre bretelles*. Pani Adela przywiozła także pomiędzy innemi rzeczami, śliczne krawatki w nowym rodzaju. Jedne z nich mają wyrabiane na końcach kwiaty w kształcie ludzkich postaci (*fleurs animées*) inne znów z czarnéj koronki miały podwójne końce z kolorowemi dziecinnemi figurkami (*cravates a marmouses*) niektóre były tak szerokie że zarówno służyć mogły za krawatki

jak za paski wiązane z boku. Pominąwszy już jak zwykle lekkie i piękne kapelusze i stroiki na głowę utworu pani Adeli, nie możemy nie wspomnieć o czepeczkach negliżykach pełnych niezrównanego wdzięku. Wszystkie składają się z gładkiego, przezroczystego muślinu, gipiury *Cluny* i wstążek lub aksamitek. Śliczny był dla brunetki czepeczek strojny aksamitką pąsową, inne miały ozdoby różowe i błękitne, oraz fioletowe. Przywiozła także pani Adela zupełnie nowy rodzaj ubioru na głowę zwany *a la Maintenon* jest to dość duża chusteczka z gazy *grenadine* fioletowéj, oszyta gładko do koła szeroką czarną koronką, która się upina na głowie wedle wskazania, kosztuje rs. 4.

Na krakowskiém przedmieściu w domu hr. Zamojskiego wprost posągu Kopernika zwiedziłyśmy zakład gotowéj kobiecéj i męzkiéj bielizny pana Leona Konitz i śmiało go polecić możemy. Koszule męzkie z pięknego płótna, ręcznego starannego szycia są w cenie rs. 3 i pół, piękniejsze od rs. 48 do rs. 60 tuzin. Kobiece dzienne od rs. 25, 36, do 60. Ostatnie haftowane i każda z tuzina może być odmiennnym deseniem. Są także w tym składzie kaftaniki wełniane, trykotowe, kolorowe i białe gęste nabite zwane *kaftaniki zdrowia*; pierwsze w cenie złp. 15, drugie złp. 18.

---

# O SZKÓŁKACH,

CZYLI

## pielęgnowaniu drzew młodych.

Dwojakim sposobem wychować można szczepy, albo przez posianie ziarn, albo przez zasadzenie dziczek. Sianie ziarn dłuższéj wprawdzie wymaga cierpliwości, ale też z wielu względów jest pożyteczniejsze. Naprzód, że jeżeli z ziarn dobrych owoców wychowamy płonki (czyli dziczki), z takowych szczepy są doskonalsze, bo już im lepszych dostarczają soków; powtóre: że z mnóstwa flanc jakie nam siew dostarczy, łatwiéj jest wybrać jak najkształtniejsze do szczepienia; sadzenie zaś dziczek, wyszukanych tu i owdzie, niéma tych przymiotów, chociaż owocu prędzéj się doczekać można. Do siania należy przygotować ziarka, lub pestki, albo z użytych owoców ogrodowych, albo w braku tych, z dzikich. Ziarna przygotowują się tym sposobem: mięso dobrze dojrzałego owocu oberżnąwszy, środki z ziarnami włożyć w jakie naczynie, lub jeżeli dzikie, całe owoce dla oszczędzenia pracy i zostawić aż póki gnić nie zaczną, co gdy nastąpi, rozetrzéć lekko bez zgniecenia ziarn, a biorąc po części na przetak, oczyścić w wodzie ze zgnilizny, poczém w cieniu na świeżém powietrzu obsuszyć, lecz nie nazbyt, bo nadto wysuszone nie wschodzą, świéże zaś mając nadto wilgoci, łatwoby w ziemi pogniły. W jesieni, w październiku a nawet jak najpóźniéj, aby tylko dało się uskutecznić przed zamarznięciem, albo jeżeli okolica jest obfita w myszy, to na wiosnę, wcześnie jeżeli ziemia nie jest błotnista, odznaczyć grzędy, na których porobić wzdłuż rowki na jeden cal głębokie, na pół łokcia jedne od drugich odległe, w tych co cztery cale kłaść ziarna i na cal przysypać ziemią. Na zimę dobrze jest zasianą grzędę zabezpieczyć od mrozów przykryciem słomiastym gnojem, który na wiosnę ma być jak najwcześniéj odrzuconym; a gdy ziarna powschodzą potrzebują w czasach suchych polewania i plewidła. Pestki śliwek, wiśni i czereśni, takim sa-

mym sposobem siać potrzeba; lecz jeżeliby nie mogły być zasiane w jesieni, w następujący sposób przechować przez zimę: w naczynie jakie nasypać warstwę ziemi lekkiéj lub piasku wilgotnego, ale nie polanego wodą, na nim warstwę pestek, na nią znowu piasku i tak daléj, postawić w miejscu bezpiecznym od szczurów lub myszy, gdzieby ani marzły, ani też od ciepła rosły, np. w piwnicy, a na wiosnę będą zdatne do posadzenia, ktoby zaś miał grunt na ten cel jeszcze za wilgotny, a pestki za nadejściem ciepła wiosennego, zaczęły już kiełkować, to i wtenczas jeszcze są zdatne do posadzenia, lecz z wielką ostrożnością trzeba to wykonywać, aby kiełki się nie obłamywały, a ztąd nie było zawodu. Tak z ziarnek jako też i z pestek wyrosłe drzewka, po drugim roku będą najlepsze do przesadzenia w osobną szkółkę, gdzie mają już być szczepione.

(*d. c. n.*)

*J. Poznański*,
Ogrodnik z zakładu braci Hozer.

---

## PRZEPISY GOSPODARSKIE.

### Ciastko migdałowe.

Trzy białka trze się z funtem miałkiego cukru na lukier, dodaje się kilka kropel soku z cytryny i wsypuje się funt, wzdłuż krajanych migdałów; wymieszawszy dobrze, kładzie się na blachę opłatkami wyłożoną, którą trzeba albo świeżém masłem, albo białym woskiem wprzód cokolwiek natrzeć. Skoro w piecu ta massa obeschnie, krajać ją w paski i zachować do użycia w szklanym słoju.

### Rolady wieprzowe.

Z niezbyt tłustego wieprza gorące jeszcze schaby urządzić następującym sposobem: Rozciąć ostrym nożem błonę przyrosłą do każdéj kości żebrowéj, następnie, (postępując ostrożnie żeby schabu nie przedziurawić) wyrzynać każdą kosteczkę. Na 20 funtów tym sposobem urządzonych schabów, bierze się soli prażonéj i przez sito przesianéj funt 1, saletry łutów 1 i pół, bobków, gwoździków, pieprzu prostego po 1 łucie, pieprzu tureckiego pół łuta, angielskiego i bobkowych liści po 2 łuty, kolędru 4 łuty, jałowcu na pół utłuczonego 1 i pół kwaterki. Mięso układa się ciasno; trzeba je dobrze natrzéć solą i korzeniami i zupełnie w nich utarzać. Potrzymać w ciepłem miejscu godzin 48, potém wynieść na zimno. Po upływie dni 15tu (w ciągu których 3 razy mięso przełożyć potrzeba tak, aby sztuki na dnie leżące znalazły się na wiérzchu), wyciéra się mięso suchem płótnem, (wymywszy je pierwéj w wodzie ze wszystkich korzeni które do niego przylgnęły) następnie szczotką maczaną w spirytusie i zwija się ciasno każden schab zosobna, uważając naturalnie aby skóra została na wierzchu. Tak zwinięty wałek bardzo ciasno obwija się sznurkiem i wywiesza przez tydzień na wietrze. Po upływie tygodnia, okręcić potrzeba wałek papiérem i powiesić w gorącym dymie na 3 dni, aby się razem mięso piekło i wędziło. Kto do drzewek tlących się pod wędliną dosypie dziennie, (sypiąc po trochu) pół garnka jałowcowych jagód, będzie miał daleko smaczniejszą wędlinę. Jeżeli wieprz jest karmiony na słoninę, trzeba ją odjąć ze schabów, bo zbyt tłusta wędlina, niesmaczna.

---

# OD REDAKCJI

# KÓŁKA DOMOWEGO.

Przy kończącém się trzecim kwartale **Kółka**, przypominamy Prenumeratom, którzy je zechcą nadal odbierać, wczesne złożenie przedpłaty, abyśmy zamówić mogli w Paryżu stosowną ilość rycin mód, kolorowych deseni kanwowych, form sukien i okrywek wycinanych z papieru, które obecnie dodajemy do pisma naszego. Nadmieniamy przytém, że **Kółko Domowe**, jak dotąd tak i nadal wychodzić będzie w tymże samym zakresie i kierunku, starając się zawsze odpowiedzieć zadaniu swemu dostarczania zajmującego i pożytecznego czytania dla wszystkich członków rodniny, w czém mu pomocnemi być nieprzestaną stali a znani zaszczytnie w literaturze naszéj współpracownicy. Obecnie między innemi mamy przygotowane do druku: ostatnią, nader zajmującą pracę zmarłego niedawno zasłużonego historyka Mikołaja Malinowskiego, pod tytułem: **Historja wzrostu i upadku fortun Radziwiłłowskich**, pana J. Łepkowskiego, **wycieczka do Kalwarji Zebrzydowskiéj**, panny Julji Janiszewskiéj, dalszy ciąg artykułów **O wychowaniu**, oraz nader zajmującą amerykańską powieść Nathaniela Hawthorne, jednego z pierworzędnych powieścio-pisarzy dzisiejszych czasów pod tytułem: **Dom o siedmiu wieżyczkach**. (*the house of seven gables*). Jak dotąd tak i nadal dawać zamierzamy korrespondencje z zagranicy i wiadomości o świeżo wyszłych dziełach, tak w kraju jak i u obcych, a prócz tego oddzielne korrespondencje z Paryża o ubiorach, ztamtąd również drzeworyty z wzorami robót, oraz formy najnowszych krojów sukien i okryć damskich, które na żądanie prenumeratorów wraz z próbkami materji bezpłatnie im posełane będą. Opisy czesania głowy według wzorów pana Kocha, oraz rysunki podobne w drzeworytach zawsze dawać będziemy i równie jak dotąd ułatwiać wszelkie sprawunki prenumeratorów. W miejscu spóźnionych rycin mód do tego poszytu, które damy przy następnym, dodajemy obecnie dwie śpiewki na fortepjan. Desenie kanwowe kolorowane, skutkiem omyłki zaszłéj w obstalunku na ten kwartał również na czas wykończone nie zostały, damy je przeto na początkach następnego.

Prenumeratorzy obecni, którzyby nabyć chcieli **Kółko Domowe** z lat ubiegłych, mogą otrzymać takowe za cenę rs. 5 rocznie, jeżeli pieniądze przyślą wprost do Redakcji. Warunki dzisiejszéj prenumeraty, drukowane są na każdéj okładce.

Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.— Druk J. Ungra.

# OD REDAKCJI
# KÓŁKA DOMOWEGO.

Przy kończącém się trzecim kwartale Kółka, przypominamy Prenumeratorom, którzy je zechcą nadal odbierać, wczesne złożenie przedpłaty, abyśmy zamówić mogli w Paryżu stosowną ilość rycin mód, kolorowych deseni kanwowych, form sukien i okrywek wycinanych z papieru, które obecnie dodajemy do pisma naszego. Nadmieniamy przytém, że **Kółko Domowe**, jak dotąd tak i nadal wychodzić będzie w tymże samym zakresie i kierunku, starając się zawsze odpowiedzieć zadaniu swemu dostarczania zajmującego i pożytecznego czytania dla wszystkich członków rodziny, w czém mu pomocnemi być nieprzestaną stali a znani zaszczytnie w literaturze naszéj współpracownicy. Obecnie między innemi mamy przygotowane do druku: ostatnią, nader zajmującą pracę zmarłego niedawno zasłużonego historyka Mikołaja Malinowskiego, pod tytułem: **Historja wzrostu i upadku fortun Radziwiłłowskich**, pana J. Łepkowskiego, **wycieczka do Kalwarji Zebrzydowskiéj**, panny Julji Janiszewskiéj, dalszy ciąg artykułów **O wychowaniu**, oraz nader zajmującą amerykańską powieść Nathaniela Hawthorne, jednego z pierworzędnych powieścio-pisarzy dzisiejszych czasów pod tytułem: **Dom o siedmiu wieżyczkach** (*the house of seven gables*). Jak dotąd tak i nadal dawać zamierzamy korrespondencje z zagranicy i wiadomości o świeżo wyszłych dziełach, tak w kraju jak i u obcych, a prócz tego oddzielne korrespondencje z Paryża o ubiorach, ztamtąd również drzeworyty z wzorami robót, oraz formy najnowszych krojów sukien i okryć damskich, które na żądanie prenumeratorów wraz z próbkami materji bezpłatnie im posełane będą. Opisy czesania głowy według wzorów pana Kocha, oraz rysunki podobne w drzeworytach zawsze dawać będziemy i równie jak dotąd ułatwiać wszelkie sprawunki prenumeratorów. W miejsce spóźnionych rycin mód do tego poszytu, które damy przy następnym, dodajemy obecnie dwie śpiewki na fortepjan. Desenie kanwowe kolorowane, skutkiem omyłki zaszłéj w obstalunku na ten kwartał również na czas wykończone nie zostały, damy je przeto na początkach następnego.

Prenumeratorzy obecni, którzyby nabyć chcieli **Kółko Domowe** z lat ubiegłych, mogą otrzymać takowe za cenę rs. 5 rocznie, jeżeli pieniądze przyślą wprost do Redakcji. Warunki dzisiejszéj prenumeraty drukowane są na każdéj okładce.

*Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.* — Druk J. Ungra.